

Józef Lenczewski

ul. Akademicka 6 m 12.

ARCHIWUM WSKROKIE

Nazywam się Józef Lenczewski. Urodziłem się 7 17-5, w roku w Rosji - w majątku Domino koło Orła. Moi rodzice wrócili do Polski z Rosji w roku 1918-5, m. Rosji opuścili się dlatego, że ojciec pracował na kolei. w czasie działań wojennych pierwszej wojny światowej kolejarzy wraz z rodzinami wywożono na wschód. Po powrocie zamieszkaliśmy w swoim domu na Hutnarskiej 5 w Białymstoku. Tu też skończyłem Szkołę Powzeczna nr 2 w Białymstoku. Następnie pojechałem do Wilna, złożyłem egzamin wstępny i ukończyłem Szkołę Techniczną im. Mierzałko Piłsudskiego w Wilnie. Po skończeniu szkoły od razu na ochotnika zgłosiłem się do wojska. Służbę wojskową odbyłem w nowo założonej podchorążówce artylerii, która się nazywała Maszowska Szkoła Artylerii im. Gen. J. Bema w Zambrowie. Po ukończeniu tej szkoły odbyłem trzymiesięczną praktykę w 29 **PAŁU** koło Grodna na Poluzsu. I od razu jak wyszedłem z wojska otrzymałem pracę na Polskich Kolejach Państwowych w Warszawie. Początkowo pracowałem w zakładach chemicznych Warszawa-Praga. Przeszedłem wszystkie szczeble praktykanckie i ostatnie trzy miesiące odbywałem praktykę na parowozie w charakterze maszynisty. To była ciężka praca. Taki jeden wyjazd/przeważnie jeździłem towarowymi pociągami/ na trasie Warszawa-Białystok to trzeba wrzucić było do pieca siedem ton węgla. Jeśli to był dobry węgiel, to dobrze, ale najczęściej to był miarki i to była bardzo ciężka praca.

24-ego sierpnia otrzymałem wezwanie na tzw. mobilizację honorową. Miałem się zgłosić z wnioskiem do swego macierzystego pał

stego **PAL-u** w Grodnie. Tam się zgłosiłem. Pracowałem początkowo w kancelarii, a potem była misja specjalna i kapitan - ogniomistrz szkoły podchorążych zawodowy i ja wyjechaliśmy w tajnej misji do Brześcia. Peczę z dokumentami miał kapitan. Akurat, gdy wyjeżdżaliśmy w Grodno, było pierwszego września. W tym czasie lotnictwo niemieckie bombardowało miasto Grodno. Myśmy się tam dłużej nie zatrzymywali. Widać, że bomby spadły między innymi na kościoły, były znaczne zniszczenia i ofizy. Ale myśmy nie mieli czasu tym się zajmować. Szybko udaliśmy się na Dworzec i udaliśmy się do Brześcia.

Nasz pociąg nie był bombardowany i bez większych przeszkód dotarł do Brześcia. Brześciu byłem krótko. Już następnego dnia kapitan załatwił wszystkie sprawy, które miał załatwić. Jednocześnie otrzymał nowe polecenie dla pierwszego **PAL-u** /pułku artylerii lekkiej/ stacjonującego w Wilnie. Z tego powodu z Brześcia wracaliśmy już nie do Grodna, ale do Wilna. Ja osobiście mieszyłem się z tego, bowiem w Wilnie spędziłem tyle lat. Miałem współtowarzysze nie znali na tyle miasta, stąd wystąpiłem z roli przewodnika. Rozmowy dokonał chyba kierowca, który wiozł nas do pierwszego "PAL-u".

W Wilnie było spokojnie. Nie odczuwało się specjalnie atmosfery wojny. Wszystko odbywało się normalnie. Ale już wydano niektóre zarządzenia w tym duchu. Na przykład nie można było podawać wódki w restauracjach.

Właśnie w Wilnie w pierwszym "PAL-u" spotkałem swojego przyjaciela jeszcze z czasów szkolnych - Michała Kardisa. Byliśmy z nim razem na ćwiczeniach wojskowych oraz wspólnie odbywaliśmy praktykę w Warszawie. Także razem byliśmy w wojsku w podchorążówce. Kiedy go spotkałem, zaprzęgnąłem zostać w Wilnie. W tej sprawie zwróciłem się do kapitana. On nic miał żadnych zastrzeżeń. Oczywiście musiałem to załatwić z pułkownikami.

W Wilnie było właśnie zgrupowanie artylerii. Dowódcą tego zgrupowania był pułkownik Batory. Zgłosiłem się do niego - razem z kolegą Kardisem - i pułkownik wyraził zgodę. Sostałem w Wilnie z przydziałem do baterii kapitana Wyganowskiego.

Początkowo mieliśmy zajęcia z żołnierzami. Byli to głównie żołnierze powołani w czasie mobilizacji. Byli to starsze roczniki i trzeba było z nimi przerabiać niektóre czynności przy działach. Z każdym razem prowadziliśmy zajęcia z żołnierzami. Powtórka była konieczna.

Po jakimś czasie kapitan Wyganowski powiedział, że właśnie on tworzy jedną baterię ochotników, która wyjedzie na zachód. Oczywiście natychmiast z Kardisem zgłosiliśmy się. Obu nam kapitan wyznaczył funkcję dowódców działonów. Z tego powodu dał nam całkowicie wolną rękę w zakresie doboru żołnierzy: możemy dobierać sobie takich ludzi - jakich chcemy.

Skompletowaliśmy załogi i pojechaliśmy na front. Pamiętam, że tuż przed odjazdem mieszkańcy Wilna urządzili nam pożegnanie na Placu Teatralnym. Były przemówienia. Przemawiał też dowódca zgrupowania - pułkownik Batory.

Wkrótce załadowaliśmy się do transportu i ruszyliśmy w stronę Iwowa. Wskazano nam, że tam połączymy się z naszymi oddziałami, które już operowały na tym samym terenie, między innymi w okolicach Kowla. Miał to być oddział dowodzony przez generała Franciszka Klebarga.

Po drodze nie byliśmy stacjonarni. Dopiero w okolicach Kowla-
nawej stacji już sobie nie przypominałem - tedy były anizakone.
W konieczności wyładowaliśmy się i poszliśmy na ~~przełęcz~~ ~~do~~ do
połączenia się z wojskiem generała Klebarga. Szliśmy przez Kow-
wel i Motno. Ratnie właśnie stoczyliśmy walkę z sowiecką jed-

nostką pancerną. Jedyną tą dowodził prawdopodobnie Krzywoszyń - generał sowiecki. W czasie tej walki straszyliśmy "na tyłach". Trafiliśmy kilka czołgów. Wśród trafionych czołgów był transporter z amunicją. Widziałem pociski rozrywające się w powietrzu. I tam właśnie wzięliśmy do niewoli jednego oficera. Był to młody człowiek w stopniu lejtnanta.

Jeśli chodzi o naszą załogę - żołnierze pochodzili przeważnie z poznańskiego. Prawie nikt z nich nie znał języka rosyjskiego. Wiedziałem, że była to celowa polityka władz wojskowych, że to właśnie tych żołnierzy przesłano na wschód. Oni wiedzieli, że ja znam język rosyjski. Pamiętam, byłem na kwatery, był to otyły czesny posiłek - przeprowadzono do mnie właśnie tego żołnierza. Janiec - jak już mówiłem - młody człowiek, lejtnant - był okropnie przestraszony. Widziałem, że cały drży. Poprosiłem go, żeby usiadł i żeby ja mu też dałem coś do jedzenia. Ponieważ on nadal drżał ze strachu - zapytalem go - dlaczego on tak się boi i czego. A on mi wówczas powiedział - że są jego słowa, nie moje, że nie ja wyzyskiwałem - że ich informowano, że ktokolwiek z nich trafi do niewoli do Polaków - to będzie obawiany ze skóry, że będą na nim się pastwić.

Ze zdumieniem słuchałem, jaką to propagandę karaitono żołnierzy Armii Czerwonej. Oczywiście żadna kłasyda mu się nie stała. Zjadł to, co mu podano i żołnierze głębiej go odprowadzili. Zresztą takich jak on - jeńców - było więcej. Tych jeńców odprowadzano gdzieś na jakiś punkt.

Ostatnią bitwą, w której brałem udział, była to bitwa pod Kocłiem. Było to pięćdziesiąt poddańców. Natomiast samotnego poddańca nazywał dowódcą - kapitan Wjaczowski - odczytał rozkaz generała Franciszka Klesbarga o kapitulacji. Był to dla nas moment

straszny. Jak się później dowiedziałem, nawet w naszej jednostce ktoś popełnił samobójstwo. Takie to było straszne przeżycie.

I teraz każdy miał ruszyć w swoją stronę. Część kolegów podchorążych i oficerów zamierzała udać się na południe w nadziei przedostania się na Węgry. Nie wiem, czy to się im udało, bo tamte tereny już były zajęte. Część z nas dostała się oczywiście do niewoli. Natomiast ja i mój kolega Michał Karciś oraz jeszcze jeden - porucznik z piechoty - rezerwista, sanim odszliśmy, zniszczyliśmy działo. Sobie zostawiliśmy tylko broń krótką - pistolety typu "Vis". Tym składzie dotarliśmy do niewielkiego miasteczka. Łącząc, przez cały czas kierowaliśmy się na Białą Podlaskę.

Przed Międzyrzeczem strzymaliśmy się na kolonii. Tam początkowo chcieliśmy dostać jakieś ubrania cywilne. Bliższy w dom na kolonii u samotnych gospodarzy. Niestety, nic z tego nie wyszło, bo tam mieszkali starszy pan i starsza pani i nie mieli cywilnych ubrań.

Oczywiście dystynkcje pozrywaliśmy. Dale ścigacie, że ja byłem ubrany w zwykły żołnierski mundur i taką czapkę. Bo niektórzy moi koleżki poszli na front w swoich własnych, eleganckich mundurach. Teraz oni byli w trudnej sytuacji i musieli się przebrać. Natomiast wy po odpruciu dystynkcji wyglądaliśmy jak zwykli żołnierze.

Na tym gospodarstwie zostawiliśmy swoje konie wraz z uпряżą. Tam też schowaliśmy naszą broń - "visy". Dalej udaliśmy się pieszo w stronę Międzyrzecza. Tuż przed Międzyrzeczem, jakieś pięć kilometrów przed miastem, w pobliżu dużej stodoły - trafiliśmy na patrol. Był to patrol sowicki, pięćosobowy chyba z jakimś starszym, na czelo... momencie awanturzenia ja

naszkam skurat pieroścy, a moi koledzy tuż za mną. Byłem zupełnie zaskoczony tym, że jeden z żołnierzy patrolu wrócił się do mnie z trzęsieniem palców rąk. Byłem zaskoczony, ale wyciągnąłem ręce. Żołnierz popatrzył i taka była jego reakcja: Ot, widno z rąk, cze raboczi. Otwóćcie moje ręce tak wyglądały, bo ja przez trzy miesiące pracowałem jako pomocnik wiesznioty, przerzucając kęsieł kołoty. Błąd skóra na dłoniach była jak na pieciu. Takie samo opzeczanie otrzymał mój kolega Kandiś. A ten porucznik był oficerem rezerwy i miał gospodarstwo rolne. Pracował też na roli, więc ręce te były też wypracowane. W każdym razie zokwalifikowali nas jako kukacy-roboty i zaprowadzili nas do takiej stodoły. Tam było dużo, może se sto pięćdziesiąt osób chyba. Byli to wszyscy ci, którzy zostali zatrzymani na tej trasie. Spodziewałem się po zatrzymaniu, że będzie dokonana dokładniejsza rewizja. Bo dotychczas sprawdzono nas raczej powierzchownie: sprawdzono ręce oraz pomacano w kieszeniach.

Dopiero w stodołę dowiedzieliśmy się, że bolszewicy po zatrzymaniu powtórnie przeszli za stodołę na ponowną rewizję. Licząc się z tym poniszczyłem niektóre dokumenty, między innymi książeczkę wojskową. Niektóre dokumenty starannie ukryłem. Miałem też, jak wszyscy wojskowi specjalne blaszki, tak zwane nieśmiercielniki. Miałem też specjalne pudełeczko, jakie otrzymywali oficerowie i podoficerowie zawodowi. W tym pudełeczku składało się węzełkie dane: gdzie się mieszka, stopień, zawód i temu podobne dane. Teraz, w tej sytuacji wyciągnąłem z mojego pudełeczka te dane i zniszczyłem.

Rano zaczęto pędzić nas do Białej Podlaskiej. Uformowano z nas marszową kolumnę. Było to wczesnym rankiem, jeszcze ciemno. Sekorce były chyba se cetyry pa i enkawuści. Przed

wymarszem nastąpiło sakramentalne, sowieckie ostrzeżenie: szag w lewo, szag w prawo - strzelać budiem. W tym czasie nie byliśmy już w rękach wojskowych władz sowieckich lecz w rękach NKWD. Tak nas prowadzono do Białej Podlaskiej.

Kiedy przysialiśmy tam, już było widno. Pobyt, a zwłaszcza wejście do Białej Podlaskiej przeżyłem strasznie. Spostrzegłem bowiem wielu naszych - Polaków - którzy paradowali z czerwonymi opaskami na rękawach. Kiedy myśmy przechodzili, to oni nas pluli.

Doprowadzono nas do transportu kolejowego. Załadowano nas do wagonów i pociąg ruszył na wschód. Zawieszono nas do kręćcis. Dopiero tu - po dwóch chyba dniach - otrzymaliśmy pierwszy posiłek. Stąd ruszyliśmy dalej i dojechaliśmy do miejscowości Miłonec. Tu nasz transport zatrzymał się. Tu staliśmy dzień, a może dwa.

Po jakimś czasie do tej miejscowości dotarł jeszcze jeden transport. Nadjechał od strony wschodniej. Jak się nieco później miało okazać - był to transport z Białegostoku. Od kolejarzy - bo nadal pracowali nasi kolejarze - dowiedzieliśmy się, że jeden z tych transportów pójdzie dalej na wschód zaś drugi we wrócić.

Ta wiadomość spowodowała niecierność - wręcz nerwowość: czy my pojedziemy dalej, na wschód - czy wrócimy. Była noc, kiedy usłyszeliśmy, że jedziemy i że nastąpiła zmiana kierunku. Z tego zaniepokoił się, że wracamy z powrotem. Po jakimś czasie przywieziono nas do Baranowicz. Tu - w Baranowiczach - miejscowi kolejarze potwierdzili wagony tak, że można było wychodzić. Potem dowiedzieliśmy się, że ten transport, który przyszedł, to był pierwszy transport z Białegostoku. Byli - nim różni lud-

dnia, byli w nim wojskowi i osoby cywilne: jeden wójtowiec oraz inni przedstawiciele administracji państwowej.

Ironiaż na stacji w baranowiecach można było wychodzić - skorzystaliśmy z tej możliwości i wyszliśmy. Pomyślałem, że tam w pobliżu stacji kolejowej był szpital. Pobiegnę tam i dozbiorę tam trochę chleba. Gdy wróciliśmy - podzielic się, chlebem z kolegami.

Moji koledzy mieli wczoraj jakiś pociąg do Wilna. Namowiliśmy ja czekać na pociąg w stronę Białogostku. Po jakimś czasie nadjechał taki pociąg. Wszedłem do wagonu. Byłem w peronie, bo piascowa nie miała. Była już ciemna i widać było ciemno.

Gdy przyjechałem do Białogostku i wysiadłem na dworcu, akurat oficjalnie poszedłem do pracy. Był - jak już mówiłem - kolejarzem i był w tym czasie na dworcu. Zobaczył mnie. Nastąpiło oczywiście powitanie i wymiana słów, bo przez cały czas nie wiedziałem, co się z rodziną dzieje, a przecież to był czas wojny. Podczas powitania spostrzegłem że zmieniłem, że ojciec mnie nie ma. Nie wytrzymałem i spytałem: co tatuś mnie tak ma? Ojciec odpowiedział: ciemno, przepadł do nas wiadomość że ty straciłeś nogę i że przyjeżdżasz bez nogi. Ktoś taki wiadomość przyniósł.

Mówiłem do domu, straciłem te nogi i wróciłem do pokoju. Przeszedłem jeszcze wykopałem się. I za parę dni powstała pytanie: co dalej? Co z sobą robić?

Od 1933-go roku, kiedy zgłosiłem się z Białogostku, to nadal nie byłem tam zameldowany. Były to lata nauki w szkole w Wilnie, następnie wojsko, był w Warszawie. Dom rodziców był duży: mieszkali tu nasza rodzina oraz jeszcze trzy lekatorskie mieszkania. Według zarządzenia nowych władz wszyscy nowoprzyby-

li mieli obowiązek zgłosić się do odpowiedniego urzędu ewidencji ludności. Od pierwszej chwili postanowieniem nie zgłaszać się i zaszczepion się ukrywać. Już na początku 1949-go roku nawiązałem pierwszy kontakt konspiracyjny z pierwszą organizacją, która tutaj działała. Była to organizacja "Związek Odbudowy Rzeczypospolitej".

Wstąpiłem do tej organizacji. Już w domu nocować nie mogłem. Nocowałem w różnych miejscach. Miałem wcześniej przygotowane takie miejsca i tam się zatrzymywałem. Bardzo często nocowałem na wsi, w Łondzianach.

Właśnie w związku z moimi częstymi pobytami w tej wsi otrzymałem zadanie nawiązania kontaktu z ludźmi, którzy tam jakoby przebywali i pochodzili ze Lwowa. Jak się potem okazało, byli to wyśsi oficerowie. O nich dużo powiedzieć nie mogę, bo to były przecież warunki konspiracyjne. Jeden z nich był lotnikiem, drugi był komisarzem policji i jeszcze jeden. I oni tu właśnie starali się nawiązać jakieś kontakty z podziemiem. I właśnie ja zostałem zadaniem nawiązania z nimi kontaktów. Oni rzeczywiście pochodzili ze Lwowa. I sprawie nawiązania z nimi łączności miałem o tyle ułatwione zadanie, że miałem dużo znajomych pracujących na kolei. Jednym z nich był mój kolega - Kostek Sosnowski. Pełnił on na kolei funkcję kierownika kasy i bardzo mi się z tym przydał. Wynikało to z nowych zarządzeń władz sowieckich. Otóż, aby się dostać w ogóle do pociągu, trzeba było mieć bilet. Ale żeby móc kupić bilet - trzeba było mieć tak zwane polecenie wyjazdu. Bez tego nie było mowy o kupnie biletu w kasie. Właśnie Kostek, który był szefem wielu takich kas - załatwił mi te bilety oraz pozwolenie na wyjazd, zwane z rosyjska "putiowki".

Ten proceder trwał dość długo. Cały czas utrzymywaliśmy kontakt z "Lwówiakami". Oni mieli mój punkt na ulicy Hetmańskiej i tam w razie potrzeby wyznaczani ludzie przychodzili. Pamiętam, że tam często przychodziła żona jednego z "Lwówiaków", prawdopodobnie żona wspomnianego komisarza policji. Przyносиła i coś zabierała.

Z tej grupy był bardzo młody chłopak, którego miał - jak dziś sądzę - za dwanaście lat. Właściwie to było jeszcze dziecko. Spotykałem się z nimi też w Żędzianach lub w Babinie. Nie pamiętam już dokładnie, kiedy to było - chyba w czerwcu lub lipcu 1940-go roku. Oni, to znaczy "Lwowiacy" kwatrowali akurat u mojego kuzyna - Romana Lenczewskiego, który mieszkał na kolonii w Żędzianach. Tam spotkałem się z nimi po raz ostatni. Pamiętam, że na to spotkanie dotarł ktoś jeszcze z terenu. Na tym spotkaniu omawialiśmy różne sprawy organizacyjne, sprawy łączności. Tak spędziliśmy wiele godzin. Zapełnił już zmierzch. Ten obcy, który tu przyjechał, był ubrany jak wieśniak: przyjechał w wiejskich butach i na rowerze. Zjedliśmy kolację i on wyjechał, a za nim - po pewnym czasie wyjechałem i ja, chociaż proponowano mi pozostanie na noc.

Z kolonii przyjechałem do wai, gdzie też miałem kilka dobrych miejsc, w których można było się utryć. Ponieważ było już dość późno - zaszedłem do swojego wujka - Babińskiego - żeby u niego przenocować.

Akurat wujka syn - wówczas chłopak jeszcze, żyje jeszcze obecnie - taki Stasio Babiński - nadal mieszka w Żędzianach - spał w stodole na sianie. Postanowiłem, że pójdę do niego na siano i tam się przespię, żeby nie robić kłopotów. Poszedłem i ułożyłem się w stodole na sianie.

Nocą obudził mnie jakiś szum. Zorientowałem się, że coś się dzieje. Po chwili usłyszałem, że ktoś biegnie za naszą stodołę, a za chwilę rozległa się strzała. Jak się dopiero później dowiedziałem - uciekał jakiś mój daleki coby krajny coby może tylko spokrewniany - Henryk Tenczewski.

Miał chłopak wyjątkowego pecha. Był w niewoli niemieckiej, w której uciekł. Wrócił niedawno do domu i trafił akurat na sowiecką obławę. Uciekał w stronę rzeki warwi i za naszą stodołę, został zastrzelony.

Nie miałem wątpliwości, że sprawy przybiorą nieodby obrót. Wiedziałem, że coś się dzieje i że w każdej chwili może tu być rewizja. Ryskawięnie ścisnąłem Stecha z postania, pod jego postaniem wykopałem dziurę w sianie, do której wskoczyłem. Stech nad moją kryjówką, która zasypał sianem rozłożył swoje postanie i położył się jak gdyby nigdy nic. Wprawdzie mnie było bardzo trudno oddychać, ale nie miałem przecież innego wyjścia.

Nagle do stodoły wtargnęli Rosjanie i zaczęła się rewizja. Kilku z nich weszło na sęsieć na siano i zaczęło kłuć bagnietami. Wreszcie zobaczyli postanie i krzyknęli: kto eto? Ale po chwili sami sobie odpowiedzieli: eto rebionok /dziecko/. Sami zobaczyli, że dziecko śpi i poszli sobie. A ja w ten sposób uratowałem się.

Potem - jak się okazało - tych wszystkich "Lwowiaków" aresztowali. Następnego dnia po aresztowaniu, zgłosił się do nas ten chłopak. Z jego opowiadania okazało się, że po aresztowaniu jego rodziców przewidziano gdzieś do innego miejsca, a jego skierowano do zakładu dla dzieci. I on - natychmiast z tego zakładu uciekł. Uciekł i natychmiast przyszedł do nas, bo miał

sądzę. Ja mu pośpiesznie wystarałem się o "putiówkę", wystara-
liśmy się mi o przewodnika, który go odwiedził do Lwowa do jego
babki.

Po tej sprawie zerwałem całą łączność i uprzedziłem kole-
gów, żeby nikt broń Boże nie przychodził. Sam nocowałem po me-
linach. Częste noce spędzałem u swoich krewnych w ich mieszka-
niu przy ulicy Łąckiej. Do domu, do rodziców przychodziłem tyl-
ko raz w tygodniu - w sobotę. Przychodziłem po to, aby się u-
myć i zmienić bieliznę. Po zakończeniu tych niezbędnych spraw
natychmiast wychodziłem.

Wiece wcześniej - w domu moich rodziców zamieszkałem, na
górze Koszanie. Była to rodzina, która przyjechała z Rosji. By-
li to państwo o nazwisku Grynin. On zajmował jakieś stanowis-
ko w ochronie kolei. Była to jakieś dość poważne stanowisko.
Na imię miał Aleksander. Gdy ja przychodziłem od czasu do czes-
ta do rodziców, to widywałem się z nimi, a nawet z nimi rozmawia-
wałem. To byli jeszcze młodzi ludzie: i ona i on. Mieli synka,
który miał na imię Sławek. Tego pana spotykałem z tej okazji,
że przychodził do ⁹ moich rodziców na pogawędki.

Z krótko rozmów z panem Gryninem można było wywnioskować
się, że był to człowiek kulturalny i subtelny. Był to człowiek
inteligentny i na odpowiednim poziomie. Nigdy nie pytał, co ja
robię ani gdzie pracuję. W pewnym momencie już sam podpowie-
dział, że pracuję na wsi i tu od czasu do czasu przyjeżdżam.
Pan Grynin odwiedził mnie u rodziców kilka razy i kilkakrotnie
z nim rozmawiałem.

Rodzice wyrażali się o nich bardzo dobrze. W tajemnicy ich
był i wspomniany Sławek - został ochrzczonego. W pewnym momencie,
pan Grynin prosił, żeby nie mówił o tym nikomu, ale wszystko
wskazując na to, że ma to być wcale nie tajemnicą.

moje mamy znalazła jakichś chrześcijan i dziecko zostało ochrzczone w cerkwi. Ten ich syn był bardzo fajnym chłopakiem.

Kiedyś przyszedłem do rodziców, jak zwykle. Wykąpałem się i już zamierzałem wychodzić. Pamiętam, że to była niedziela. Wówczas moja mama zaczęła nalegać, żeby zostałem chociaż na jedną noc i przespał się jak człowiek. Opierałem się, ale na skutek nalegań matki dałem się przekonać i zostałem na noc. O podwójnie zabitej wano - a był to styczeń 1949-go roku - usłyszałem kłopotanie do drzwi i krzyki: otwórz drzwi. Następnie do domu wpadła trzech sowietów. Zagrali świątło i potłuczili drzwi do wszystkich pokoi. Obwołali też drzwi do pokoju, w którym spałem na składowym łóżeczku, które stało przy drzwiach. Zaczęła się "prawierka" /oprowadzenie/ dokumentów. Mój ojciec chyba akurat wówczas wrócił z pracy. Do niego wrócili się rozwijając z pytaniami: kto to, młodość, coś wieśki? Odpowiedziałam, że jestem studentem i właśnie przyjeżdżam do ciotki. Wówczas oni powiedzieli: och, ubierz się. Sprawdzają, czy mówisz prawdę.

Powiedzieli, żeby mi pozwolili pojechać się z ciotką i z wujkiem. Kiedy odezwał się z siana, nachyliłem się nad nią i zacząłem jej do ucha, że im się bardzo ucieszyłem. Reakcja mnie wprowadziła. Tu, na podwórku - przekonałem się, że stało innych trzech. Po krótkiej naradzie stanęło na tym, że dwóch prowadziło mnie, a pozostał poszedł gdzieś dalej.

Tych dwóch prowadziło mnie w stronę dworca kolejowego. Szliśmy przez Szóstkowską /obecnie Hłucka Zygalska/. Jeden z nich szedł po jednej stronie, a drugi po drugiej. Obaj trzymali naganę w ręku. Byłem ubrany w kurtkę krótką, budy z cholewami na skórzanej podszewce. Szepcząc mi do ucha powiedziałam,

że ucieknę. Teraz, kiedy oni mnie prowadzili kombinowałem w myślach: jak tego dokonać. Była samowózka. Miśliczni przechoźnie akurat szli do pracy do rucni, bo tam zaczynała pracę bardzo wcześnie. Ponieważ oni trzymali pistolety w rękach na wierzchu - powiedziałem im, żeby oni schowali broń, bo ja nie jestem bandytą. I oni pistolety schowali. Na nogach mieli walcówki czyli buty wojskowe.

Nieco wcześniej zaplanowałem, że będę próbował "urwać się" w chwili, gdy będziemy dochodzić do ulicy Prowiantowej. Wówczas te ulice, kudyśmy przechodziliśmy, wyglądały zupełnie inaczej niż tutaj. Zamiast pobocza biegły rowy. Po obu stronach szli dwaj konwojenci. Kiedy już dochodziliśmy do ulicy Prowiantowej - uderzyłem ich obu jednocześnie. Ten z prawej strony wpadł do rowu, ale ten, który szedł od strony ulicy tylko ukląkł. Natomiast sam odskoczyłem w jednej chwili na odległość kilkunasto metrów. Korzystałem z zaskoczenia oraz z tego, że kiedyś nieśle biegłem na sto metrów zarówno w szkole jak i w wojsku.

Ale jednak nie wziąłem jednego pod uwagę - że jest bardzo blisko i że ja jestem w tych butach. Oni natomiast byli w wojskowych butach bez kaloszy. Oni natychmiast się pozbierali i rzucili się za mną z okrzykiem: tutaj - strzał budiem". Ale strzelać nie mogli, bo już ludzie chodzili po ulicy. Ja już przebiegłem Prowiantową i już chciałem skręcić w ulicę Gruntową. Właśnie przy tej ulicy mieszkał Kościak Sosnowski i jeszcze ktoś. Mieszkańcy tej ulicy wylewali w tym miejscu wodę. To zamarało i zrobiło się śluzewko. Tego właśnie nie wziąłem pod uwagę. Całym pędem wpadłem na to, poślizgnąłem się i upadłem. I oni wówczas mnie dopadli. Zaczęli mnie ciągnąć. Widziałem, że

dależy opór nic nie da. Staliśmy i oni mnie poprowadzili dalej. NKWD miało swoją siedzibę koło dworca w niewielkim budyneczku, który istnieje do dziś tylko nie wiem, co się w nim obecnie mieści. Tam mnie zaprowadzono i ponownie mnie zrewidowano. Tym razem niczego nie znaleziono, bo też i nic już nie miałem. Przez jakiś czas nic się nie działo, czekaliśmy. Reszcie przed budynek zajechał samochód "ZiL" w czarnym kolorze. Przejazd kierowcy usiadł jeden z NKWD-ystów, a po nich obu stronach dalszych dwóch.

Tu, w samochodzie nagle stwierdziłem, że sam wyjechałem sobie jeszcze jeden dokument, naturalnie "lew", którego jakimś sposobem nie znalaziono podczas rewizji. Bardzo szybko udało mi się porwać go podczas jazdy samochodem.

Zawieziono mnie do siedziby NKWD, która mieściła się przy ulicy Michiewicza. Szefem NKWD był pułkownik Samonow. Już w wejściowym korytarzyku stał stolik, przy którym siedział funkcjonariusz NKWD, którego zadaniem było chyba przyjmowanie pracowników "klientów". Przy nim stało dwóch "bajców" z karabinami. Oni to zaprowadzili mnie na górę i wprowadzili do normalnego gabinetu. "Wormszyno", bo okna nie były zakratowane. Już teraz nie posiadam, czy to było na pierwszym czy też na drugim piętrze. Tam mnie przesłuchano. Bezpośrednio z przesłuchania usiedli też dwaj "bajcy".

I nic się nie działo. Tak przesiedziałem chyba do wieczora. Dopiero około połowy wieczorka - jedynakiej wieczorki - przybył pierwszy "nieodwołal". Zanim się od typowych pytań o dane, miało miejsce, skąd i tak dołączyłem do swojej bajeczki: jestem za woi i przykro mi odwiedzić ciotkę. Dokumentów jeszcze nie mam, ale już je wyrabiam.

Przez cie padeło pytanie, na które liczyłem w tym sensie, że one musi paść: skąd ja się tu znalazłem. Odpowiedziałem, że znalazłem się tu po przekroczeniu granicy ze strony strazy niemieckiej. Wówczas pan, że wcześniej pracowałem na kolei w Warszawie, wcześniej nie mieszkałem w Białymostku. Tu przekroczyłem stosunkowo niedawno i jeszcze nie zamieszkałem się. Przeszły byłem na wsi.

Przez cały czas trzymałem się tej warzaji - jestem ucieszeniem. Na takich rozmowach przeszedł dzień następny i trzeci. Tu muszę zaznaczyć, że mnie przez cały czas przesłuchano nikt nie bił. Straszliwie bicia, ale nie bili. Ale za to nie dawali jeść tylko pić. Badania prowadzili swytle nocą. Przy badaniu kolejny śledczy pytał mnie na koniec: a ty kuziak? Odpowiedziałem, że nie. Wówczas śledczy wyrażał zdziwienie i śmiał się, czemuś ty mnie wcześniej o tym nie powiedział. U nas jest stołowejsze. Dostałbyś jedzenia do syta.

I taka rozmowa o jedzeniu powtarzała się codziennie przez kolejne przesłuchania. Każdy śledczy był zdziwiony, że ja nie jem. I że jedzenia nadal nie dostawałem, tylko dawali pić. Podczas przesłuchań zawsze stało nade mną dwóch pilnujących, którzy zawsze słyszeli naszą rozmowę. I kiedyś jeden z dwóch pilnujących, który znał język rosyjski - bo drugi nie znał rosyjskiego wcale - powiedział do mnie: synok, czto ty gawarisz, czto ty proszok czerez granicu. Teraz jest wojenny czas - tkuszczy? mi śalej. Ciebie uznają za szpiaga. A że to kula w łeb. Co ty opowiadasz.

Zastanowiłem się nad tym, co mi on powiedział i pomyślałem, że może on ma rację. Pomyślałem, jak mnie kolejny raz badano i ja siedziałem rozpięty. Widać było mój nadelek, który zawsze nosi-

tem. Był na nim wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Badający popatrzył na to i zapytał: za to ty - wiernuszowyj? Odpowiedziałem. No to niech twój Bóg sprawi, żebyś ty stąd wyszedł. I nasza rozmowa na tym się skończyła.

Przez cie przyszedł ostatni śledczy, który mnie badał. Był to właśnie pułkownik Baranow. Postanowiłem zmienić swoje zeznanie, bo mnie rzeczywiście pokazywał na szpiega, a z tym naprawdę nie ma żartów. Zacząłem więc mówić, że nigdzie nie byłem, że przez cały czas mieszkałem na wsi, a dokumentów nie wyrobiłem, po prostu zaniedbałem tę sprawę. Jednym słowem zmieniłem dotychczasowe zeznanie.

Wówczas pułkownik Baranow wziął do ręki czarną teczkę, w której były moje zeznanie i powiedział: słuchaj - jak ja ci mogę wierzyć? Przecież przede mną dziesięciu innych cię przesłuchiwało i ty przez cały czas twierdziłeś co innego. Teraz nagle mówisz co innego. Jak ci można wierzyć?

I wówczas przyszedł mi na myśl ten Grynin, który mieszkał w domu rodziców, a on był nieładną szpieką, bo był nasennikiem ochrony kolei, a więc figurą, a której zdaniem też trzeba było się liczyć.

Po chwili milczenia zaproponowałem, że moje zeznanie mogę uzupełnić uzasadnioną wątpliwością. Powiedział mi jednak: nie jest tam ktoś, kto mógłby moje obecne zeznanie potwierdzić, że ja nigdzie przez granicę nie przechodziłem.

- A kto to taki?

- Pan Grynin, który mieszkał w domu rodziców na wsi. On doskonale wie, że ja tam od czasu do czasu przyjeżdżałem na wsi, on nie pozwoliłby kilku razy widzieć, gdy tam przychodziłem. Wielokrotnie z nim nawet rozmawiałem.

Na tym przedstawieniu zakończyła się Barannikow przerwał naszą rozmowę, a ja dalej siedziałem. Tak minęła jedna godzina, druga a może nawet i trzecia. Była już chyba piąta po północy. Nadal nic się nie działo.

Wreszcie ktoś wrócił sam Barannikow. Wszedł do pokoju i powiedział: "no tak, wróciłem się do domu. Tymi słowami byłem kompletnie zaskoczony. Jak to? Tak nagle? Bo prawda jest oczywiście: nie miałem żadnej sprawy z zarządzeniem. Jedzą o dokumentach i w sprawach meldunkowych."

Na to moje zastępczenie słowa Barannikow miał tylko jedno do powiedzenia. Idź do domu. Tylko jutro przyjdź do mnie - tu podaj adres. Chodziło o budynek, który mieścił się gdzieś na tyłach obecnej restauracji "Astor", który dziś znajduje się u zbiegu Ryńki Kościuski i ulicy Sienkiewicza. Dokładnie wytłumaczył mi, do której bramy mam wejść i do którego mieszkania się zgłosić.

Zmiana mojej sytuacji nastąpiła tak nagle, że nadal nie dostrzegłem planu kryjówki, ciągle spodziewałem się jakiegoś podstępny. Wszedłem i zacząłem się rozglądać, ale była zdecydowanie pusta. Nikt za mną nie szedł. W takim stanie wyjątkowego napięcia doszedłem do domu. Tu radość wielka spotkała się z powodem mojego powrotu. Cieszyła się nie tylko moja rodzina, ale też i Grynia ze swoją żoną.

Na drugi dzień wbrałem się pod wskazany przez Barannikowa adres. Żaneta jednak tam nie mieszkała, poszedłem do kościoła, przygotowałem się do Komunii świętej. Przygotowałem się też na wszelkie niespodzianki i w inny sposób: ubrałem się w ciepły kożuch na wypadek, gdyby tak chcieli mnie wywieźć, bo tak na codzień chodziłem ubrany dość lekko.

Przyjechałem pod wskazany adres, otworzyłem tę bramę i zauwa-

byłem po prawej stronie numer mieszkania, do którego miałem wejść. W budynku był taki układ, że na dole były sklepy, a na górze mieszkania. Zadzwońkiem i usłyszałem, że ktoś na mój dzwonek schodzi po schodach. Drzwi drzwi się otworzyły i w drzwiach stał Baranow. A jednocześnie usłyszałem, że zza jego pleców, gdzieś z głębi mieszkania, dochodzi wołanie: "mama", odgłosy zabawy.

Na mój widok powiedział: "dobrze, że przyjechałeś. Wiosny, do mnie przyszli goście, jak widzisz - jestem zajęty. Przyjeżdż jutro do mnie do NKWD."

Z tym wyszedłem. Kiedy nastajutro zaszedłem do NKWD, musiałem otrzymać przepustkę. Kiedy o tym powiedziałem w biurze przepustek, pracownik zadzwonił i upewnił się, że jestem rzeczywiście wezwany. Dopiero wówczas otrzymałem przepustkę i dopiero mogłem się udać do Baranowa.

Baranow przyjął mnie w swoim gabinecie. Pytał mnie, gdzie pracuję i gdzie chciałbym pracować. Odpowiedziałem, że uwiekszałem się ze starego kolejarza i chciałbym dalej pracować właśnie na kolei, najchętniej jako pomocnik maszynisty.

Baranow wysłuchawszy powiedział do mnie: "pójdziesz do komisariatu na Białystoku. Tam otrzymasz dowód. Bo wówczas dowody wydawano w komisariatach. Bezpośrednio z siedziby NKWD poszedłem do wskazanego komisariatu z celem wyrobienia dowodu. Tu mnie zapytano, gdzie obecnie mieszkam. Kiedy powiedziałem, że zamieszkuję w Białymstoku, spostrzegłem, że już dwóch bajców przybiera wyraźną postawę w celu zatrzymania mnie. Powodem tego było to, że zgłosiłem się tak późno, daleko po wyznaczonym terminie. W tym czasie już wszyscy mieli stosowne dokumenty. Wówczas spokojnie powiedziałem: przyjechał mnie tutaj pułkownik

Bawenoy. Jeśli są jakieś wątpliwości w tej sprawie - proszę do niego zadzwonić. Jak się okazuje, raczywiście telefonicznie upewniono się, czy mówię prawdę. Jednocześnie siostry potrzebne formularze, które wypełniam jeszcze w domu, a pomagają mi w tym Grynin. Kiedy więc już te dokumenty siostry powiadziano mi, żeby przyszedł za "dwie niedziele" to znaczy za dwa tygodnie.

Kiedy po dwóch tygodniach poszedłem odebrać dokumenty u siostry, że mam przysześć "jeszcze za dwie niedziele". Kiedy zaszedłem w wyznaczonym terminie dowiedziałem się, że za tydzień. Kiedy zaszedłem za tydzień, katano mi zglazować się codziennie. Był to już koniec moja.

Czasz stawały się coraz niepokojniejszsz, wiadać było liczn na arestowania. Były już pierwsze masowe wywózki. Wówczas dogadalem się z siostrą, że tam już więcej nie pójdę, bo to może być niebezpieczne. Matka i dzie siostry wyjechały na wieś. Ojciec, ponieważ pracował na kolei - musiał zostać. Ja również od tego czasu przestałem nocować w domu. Tak tutaj się przeoczył czas, aż doczekałem wybuchu wojny niemiecko - sowieckiej, tak zakończyła się okupacja sowiecka.

Przyszedł drugi eschocza, otwierając niejako drugi tom mojego życia konspiracyjnego. Teraz bardzo szybko nawiązałem niezbytne kontakty i wkrótce znalazłem się w Zamoście. Po wstąpieniu - prawie natychmiast wyznaczono mi funkcję komendanta placówki "Liszczyk". Miałem bakiewsi kolony, z których pracownicy nasza z nasza okupacji - Mariana wojniowicz. On został adiutantem naszego inspektora, a ja komendantem placówki. W tej placówce trzeba było zacząć od początku - trzeba było zorganizować wszystko. Tak więc musiałem zorganizować i zakłonenie i

i wywiad i łącznik. Jednym słowem wszelkie zorganizowane jak w obwodzie całe życie konspiracyjne. Miałem trzy plutony. Dowódcą jednego plutonu był "Orzeł" - Szański. Drugim plutonem dowodził "Szczepan". Znałem tylko jego pseudonim. Był to starszy sierżant, bardzo fajny facet. Trzecim plutonem dowodziłem ja osobiście tego, że byłam dowódcą placówki.

Podlegałem tej konspiracyjnej pracy. Jako chyba pierwszy obwodzie zorganizowaliśmy szkołę podoficerską. Naszym opiekunem był major "Ladko" - Marian Walter. Był to wyjątkowy człowiek. Był to pierwszorzędny patriota i w ogóle - nie ma dla niego słowa uznania. Był wyjątkowo odważny. Nigdy nie chodził z żadną obywatelką.

Po zakończeniu szkolenia w naszej szkole podoficerskiej odbyły się egzaminy, które wszyscy zdali dobrze. Jeden wyróżnił się do tego stopnia, że na zakończenie szkoły otrzymał stopień plutonowy. Pozostali zostali kapralami. Zwykle wypało się dobrze.

Po zakończeniu egzaminów komendant obwodu wyznaczył mnie na instruktora w szkołach podchorążych. W tej sytuacji miałem do dyspozycji nie za słuchaczami, ale z tymi, którzy prowadzili zajęcia w szkołach.

Wiele pracy pochłaniała nam sprawa kolportażu. Wielu zwykło powielać na walek. Literaturę jak i czasami powielacz przekazywali z placówki do placówki. Współpracowaliśmy z sąsiednią placówką "Antonik", której dowódcą był mój kolega - Rosa - miał stopień porucznika. Pamiętam, że ktoś mi dostarczył ten powielacz. Po jakimś czasie wrócono mi go. W przeddzień ustalonego terminu, w którym miałem drukować - schowałem go w chlewie. Przykryłem go starannym siemem. Widział to mój ojciec

który doskonale orientował się w mojej pracy konspiracyjnej jak i w tym, gdzie i co przechowuję. nocą przedtem drukowałem do kolegę, który mieszkał przy końcu ulicy Frowientowej - jego nazwisko w tej chwili już nie pamiętam. Mieszkał na górze, przy sądach torach kolejowych. Ponieważ praca powielacza jest nieco głośniejsza - wykonaliśmy tam pewną izolację. Ale jednak było słychać. Następną z rana sąsiadka z dołu wróciła się do matki mojego kolegi: pani Rogulewska, a skąd pani tyle bielizny do maglowania narodziła /kolega nazywał się Rogolewski/. A to nasz powielacz, który był obserwowany za pomocą wałka wysłał wrażenie, że odbywa się maglowanie bielizny.

Kiedy rano skończyliśmy powielanie, powielacz zoster u kolegi / o czym mój ojciec nie wiedział/ i stąd pojechał do pracy. Tym czasie byłem zatrudniony jako spawacz przy budowie chłodni. Budowa ta była nie tak daleko od mojego domu. Kiedy po pracy wróciłem do domu spostrzegłem, że weszły są czynniki poruszeni wręcz wystraszeni. Zapytałem, co się stało i dowiedziałem się, że cudem właściwie uniknęliśmy nieszczęścia. Obojętnie widział, jak ja schowałem powielacz w chlewku i uważał, że on tam nadal jest. I trzeba brać, że u nas mieszkał pewien pan, który pracował jako dozorca w zakładach mięsnych. Tak się złożyło, że akurat w zakładach popełniono kradzież - kradziono jakieś wędliny, które były przeznaczone dla wojska. A na tle złodziejstwa wojska Niemcy byli bardzo skrupulatni. Prawdopodobnie nasz lokator był na liście podejrzanych i dlatego ta rewizja u nas. Krosną budowa, przy której ja pracowałem jako spawacz taś była przeznaczona dla wojska. Fakt ten był śladem okoliczności.

Rewizja objęła mieszkanie naszego lokatora. Ponieważ to nie

przyniosła spodziewanych rezultatów, skontrolowane jego chle-
wek. A gdy i to nie miało skutku - zaczęto kontrolować wszystkie
produktory chlewa. Skurat podejrzali o tego chlewa, w którym
był uprzednio schowany nasz powielacz. Ojciec był świadkiem
rewizji i jednocześnie był świadkiem przekonany, że ten powielacz
nadal tam jest. Z tego powodu miał napięte nerwy jak postron-
ki. Ojciec był przejęty, ale tylko "wewnętrznie". Z braku
Wiadomości nie odchodził. Ojciec był pewien, że za chwilę stanie
się niezgodnie, bo skurat szukał tam dokładnie, gdzie ten
powielacz był ukryty. Z powodu silnej ojca niezrozumiałych szu-
kali gdzieś należały i nie znalazły.

Kiedy oni wyszli - ojciec sam zaczął szukać i nie znalazł.
Dopiero gdy jego córka - ojciec zapytał: "nie słuchaj - co z
tym powielaczem? Opowiedz mi o tym, jak to się stało, że tego
powielacza nie znalazłem i dlatego go tam nie było. Do dnia
dzisiejszego, że niby wyjątkowe szczęście.

W tym czasie miałem wypadek: złamałem sobie prawą nogę i lewą
rękę. Złamania nogi było potworne: złamanie górnego odcinka
do tego stopnia, że pięta była skierowana ku przodowi. Przez kilka
tygodni chodziłem o kulach. Mimo to brałem udział w przygo-
towaniach do akcji "Burza". Moje współdziałanie polegało na tym
współdziałaniu innymi, że przygotowywałem łączników, którzy wyprawiali
oddziały we wskazane miejsce pod rozkazami "Szarego". Wśród in-
nych tych sprawami zajmował się "Rosa". W samej akcji udziału
nie brałem.

Cała ta akcja skończyła się - dowiedzieć się wiadomo. Po tej akcji
oddziały wróciły z lasu - pamiętam to dobrze - z bronią, któ-
rą część ukryli. W zasadzie teraz utrzymywaliśmy tylko łącz-
ność ze sobą, w rzeczywistości jako takiej nie prowadziliśmy.

Dopiero po jakimś czasie przyszedł do mnie "Moss". Było to już po akcji w Wilnie. Już wówczas doskonale wiedzieliśmy, co Sowieci zrobili z naszymi oddziałami Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Wiedzieliśmy dokładnie o tamtejszych sprawach, bo o tym czasie dotarli do Bielszowszki jeden z tamtejszych oficerów. Był to nawet "cichociemny". Nie znam jego nazwiska. Nazwaliśmy go "Marian". On to nam dokładnie opowiedział, jak w Wilnie potoczyły się sprawy.

On nie miał żadnych dokumentów i trzeba było mu je szybko wyrobić. Akurat w mojej placówce była komórka legelizacji. Najpierw zrobiliśmy mu zdjęcie i przekazaliśmy do laboratorium fotograficznego. Tymi sprawami zajmował się u nas człowiek, który nie należał do naszej organizacji. Nawet nie był zaprzysiężony. Można było jednak mu ufać, bo był to fantastyczny chłopak. Mieliśmy blankiety niemieckich kart pracy. Nazwiska nie wpisywałem. To robił sam zainteresowany.

Wcześniej umówiliśmy się z "Marianem", że ma to osobiście dostarczać. Był już listopad /chyba trzeciego listopada/. Gdy szedłem do niego sprawdziłem wszystkie, wcześniej ustalone sygnały: wszystko zdawało się być w porządku. Firanka wisiała tak jak powinna wisieć i nie było żadnych zewnętrznych oznak, że coś nie jest w porządku.

Było to wieczorem, już ciemno, godzina może siódma po południu - w listopadzie. Otworzyłem furtkę, wszedłem na ganek i dopiero wówczas zauważyłem, że z góry schodzi dwóch "hajeów". Zorientowałem się w niebezpieczeństwie, w jednej chwili zatrzasnąłem drzwi i chciałem uciekać. Ale w tej chwili zostałem ujęty. Okazało się, że dom był dokładnie otoczony. Wielu żołnierzy sowieckich było ukrytych w ogrodzie wśród krzewów

chodzenia. Zaprowadził mnie do gabinetu, w którym był przysto-
wany, przynajmniej w tym czasie, ubranym w wielki mundur - Ale był prze-
tętniony. Na początku przedstawiał mi się podając swoje nazwis-
ko. Następnie usiadł na biurku, wstał mi usiąść i zaczął się
śledzić.

Odpowiedział mi jego pytania: jak się nazywa, gdzie miesz-
ka i tak dalej. Wreszcie zadał pytanie: pseudonim? Udałem się
świeżego: jaki pseudonim? I on do tego: jak to - nie należysz do
AK? Nie, nie należysz. Nie mogę w to uwierzyć.

Kazało się unosić od początku: imię, nazwisko i temi podobno
sano. I znów pytanie: pseudonim? I znów ja - nie mam żadnego
pseudonimu. Tu muszę dodać, że w tym budynku pomieszczenia by-
ły otworzone za pomocą kafelowych pisco. W pomieszczeniu, w
którym mnie przesłuchiwano - również stał kafelowy pisco, przy
którym stał stółowy pogrzebacz. Było to ścianko o średnicy -
jak mi się wydaje - około trzech centymetrów. Przesłuchujący
mnie wziął do ręki to ścianko i zwracając się do mnie powie-
dział: gawari, bo jeśli nie - to ja ci tu zruka... i pogroził
mi wyśmienicie tym pogrzebaczem.

Uśmiechnąłem się na to, co on natychmiast zauważył i powie-
dział: czy się śmiejesz? Odpowiedziałem swobodnie: jeśli mnie
pan uderzy tym ścianko, to przecież natychmiast zabije. Na tym
sprawa się zakończy.

A jednak ja nie doceniłem: Uderzył mnie z wielką wprawą. Bo
on należał do fachowców od bicia. Uderzył mnie z takim pośliz-
kiem w głowę tak, że jak siedziałem na krześle - to jak by mnie
w jednej chwili spłaszczył. I w takiej siedzącej pozycji u-
padłem. Ale przytomności nie straciłem. Jasnemu dodałem pada-
jąc przeszedł się. Powiedziałem:

- Bij- ty swolcow. Mnie Niemcy bili, to teraz bij ty - sojennik.

Wówczas przesłuchujący mnie krzyknął dwukrotnie: Kubin w tym momencie pomyślałam sobie: teraz zapewne przyjdzie ktoś, kto mnie natępacznie wykończy. Po chwili do pokoju wszedł facet, starszy pan, bardzo silnie skulowany. Pomyślałam sobie: no tak, ten mnie chce na pewno wykończyć. Ten pan podniósł mnie z siadki, chwycił jak dziecko na ramie i szedł do piwnicy. Pomyślałam, że on mnie właśnie wykończy w piwnicy. Ale stało się inaczej.

Zaniósł mnie do tej celi, w której byłem wcześniej. Ale moje go współlokatora już nie było /przypominał sobie - był to pan Godlewski Franciszek z Sokółki/. Rosjanin podtył mnie na barcieg, sam usiadł obok mnie, wyciągnął papier, skrocił papierosa, przypalił i włożył w moje usta. Po chwili powiedział: synok, oni ciebie ubiją. I wyszedł z celi.

Oto muriniek się nad tym wszystkim zastanowił: nie wszyscy oni w NKAI są tacy. Ten miał naprawdę wygląd niesympatyczny, a tak go ludzku ze mną postąpił. Doszedłem więc do wniosku, że nawet i w tej organizacji też są ludzie.

Przeleżałem jeden dzień. Nie brano mnie na żadne przesłuchania. Na drugi dzień wzięto mnie znów. Kiedy wprowadzono mnie do pokoju, czekało tam na mnie są czterech NKAI-ystów. Zaprowadzono mnie do innego pokoju i zaczęło się ponownie przesłuchanie:

- Na, kak? Nalcześ ty do armii Krajowej?

- nie, nie należałem.

- no to rozbieraj się. - Zerwano ze mnie ubranie i zostałem tylko w bieliznie. Wósch z nich trzymał mnie za ręce a jeden usiadł na moich nogach.

Jeden z nich wziął telefoniczny kabel wojskowy o średnicy około trzech centymetrów i zaczął mnie nim bić. Bili mnie 300 razy.

Ból po takich uderzeniach był prosty potworny - nie to wyobrażania. Zaczęłam krzyczeć. A oni nadal bili smieniając się. Tylko bit, był stała ten sam. Pożyłkiem sobie, że dobrze będzie, jeśli uda się umrzeć. Ale ja nie wiedziałam, jak to można zrobić, bo nigdy przedtem w życiu nie zamierzałam. A oni cały czas bili. Zaczęłam krzyczeć, że to jest nocno, że są wariacy, że to jest krew, i przestali mi porządnie bić. Co mi się stało, że jestem nieprzytomny.

Po jakimś czasie usłyszałam głos jednego z oprawców: "użycie ratow". Przeszli podnieśli mnie i postawili pod ścianą. Ja nadal uświadamiałam nieprzytomność. Dwóch mnie trzymało, a trzeci krzykami rozdzierał uszy. Tak mi to uszy rozdzierał, że aż uszy zaczęły spadać.

Po jakimś czasie "oprytomniści" i wówczas wprowadzono mnie do celi. Tam położyłam się na boku. Następnego dnia usłyszałam znów: wstawaj. Ledwo się pozbierałam. Zaprowadzono mnie do innego pokoju.

Kiedy otworzyłam drzwi - zobaczyłam: w pokoju stał - był nieprzytomnie maltretowany, oparty o jakiś mebel, chyba stół - stał jakiś przedmiot: odejście - kolega, który na swój wielki powieścił: Michał, oni wiedzą, że ty byłeś dowódcą plutonu. A stojący obok Sowici krzyknęli na niego: kłama, swoloca. I nie pozwolono mu nic więcej powiedzieć.

I on - ten dowódca plutonu o pseudonimie "Sowa", on mi bardzo dużo pomógł. Dzięki niemu już teraz wiem, że czego mam się trzymać w śledztwie. Dowódca plutonu to nie nadaje się do. Bo nigdy

go. Komendan placówki - którym w rzeczywistości byłem, to coś bardziej dla nich interesującego. Komendant miał do czynienia ze służbami specjalnymi jak wywiad czy nawet kolportaż. A najbardziej obawiałem się o kolportaż, a zwłaszcza o łączność. Przecież w mieszkaniu moich rodziców mieściła się baza okręgu. Łączność, to przecież wszelkie powiązania. Gdyby oni o tym się dowiedzieli, bardzo prawdopodobne, że by mnie tam męczyli tygodniami.

Kiedy on mi to powiedział i oni krzyknęli na niego, żeby milczał, natychmiast wyprowadzono mnie do celi. Nie pamiętam, ale leżałem tam chyba ze dwa dni. Wreszcie wezwali mnie po raz trzeci. Tym razem badaniem mnie zajął się zupełnie inny oficer - stopnia nie pamiętam. Wyglądał na przyzwoitego człowieka, nawet sympatycznego. Zaczął zapisywać moje zeznania. Mówiłem o tym, o czym jeszcze wcześniej mówiłem, a na koniec powiedziałem, że faktycznie byłem dowódcą plutonu z tym jednak, że był to pluton skadrowany.

Nie rozumiał, co to takiego pluton "skadrowany". Musiałem mu wyjaśnić, że ten pluton istniał w terenie i tylko na czas akcji "Burza" miałem go sformować i dowodzić. Ale, że byłem chory - nie brałem udziału w akcji "Burza" i dlatego po prostu nikogo z tego plutonu - którym miałem dowodzić - nie znam. Tak się to złożyło.

Wówczas on zaczął pytać mnie: a kogo ty znasz. Tu zacząłem podawać mu nazwiska: znam niejakiego Malewicza. Był to bardzo dobry podchorąży, szef miejscowego "Kedywu". To go zainteresowało. Z miejsca zapytał - a gdzie on mieszka? Odpowiedziałem, że już nigdzie, bo został rozstrzelany w Bacieczkach.

Po chwili zapytał mnie: a kogo ty jeszcze znasz? Tym razem podałem mu nazwisko Niewińskiego. A kim on by? On był moim prze

łożony. W naszej organizacji pełnił funkcję komendanta obwo-
du. Po jakimś czasie aresztowali go Niemcy i zginał.

Kogo ty jeszcze znasz ? Tym razem podałem mu "Hela".
A kim on u was był ? On był u nas komendantem rejonu. Ale on
został aresztowany z Niewińskim - prawie w tym samym dniu.
Jego również Niemcy rozwalili.

W tym momencie cierpliwość przesłuchującego wyczerpała się.
Zerwał się z miejsca i ryknął: czto ty mnie miortwych padajosz
Dawaj żywych. Odpowiedziałem na to, że z nikim więcej nie mia-
łem styczności. To przecież byli moi przełożeni i z nimi mia-
łem kontakty organizacyjne.

- No, czort z tobą, powiedział i dał mi wreszcie spokój. Ca-
ły czas pisał raport. Wreszcie gdy skończył, powiedział: podpi-
szy. Powiedziałem, że chcę to przeczytać. Przejrzałem tak "piąte
przez dziesiąte" i to wszystko podpisałem.

Wówczas on zawołał kogoś, kto by mnie odprowadził do celi
a do mnie powiedział: znajesz- zdiesz ni krzty prawdy nie-tu.
Ale czort s taboju. I tak i tak pajediesz w Sibir, pożywiosz
godik i zdechniesz kak sabaka.

W ten sposób mnie pożegnał. Mimo takiego zakończenia na-
szych spotkań muszę dziś stwierdzić, że to był ze wszystkich
"sledowatieli" najsympatyczniejszy facet. Facet przystojny i
sympatyczną.

A ja ponownie znalazłem się w celi. Następnego dnia już wie-
czorem usłyszałem jakiś ruch, coś w pobliżu przejeżdżało. I nag-
le zapadła cisza. Wreszcie przyszedł taki człowiek, który przez
czas mojego tam pobytu przynosił jedzenie. Był pracownikiem
ochrony tych cel. Zapytałem go, dlaczego tak cicho się zrobiło.
On mi na to odpowiedział, że wszystkich wywieźli i że prawie

nikogo nie ma. Zostałem już tylko ja sam. Tamtych wszystkich wywieziono do więzienia.

Zmartwiłem się tym bardzo. Sądziłem, że nadal będę poddawany badaniom - niekończącym się badaniom. Kiedy był już wieczór, do mojej celi wszedł dozorca i kazał mi się ubierać. Ubrałem się w płasz kolejowy oraz na głowę nałożyłem czapkę wojskową "polówkę", którą kiedyś przefarbowałem na granatowo. Kiedy wyszedłem z celi przed budynek zauważyłem, że czeka na mnie samochód "Zis 101", do którego kazano mi wsiadać. Oczywiście razem wsiedli strażnicy.

Kiedy samochód ruszył z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że samochód kieruje się w stronę więzienia. I rzeczywiście - zawieziono mnie do więzienia. Tam przejęli mnie inni strażnicy. Wkrótce skierowano mnie do łaźni. Przy okazji zdysfektowano moje ubranie. Po kąpieli skierowano mnie do celi.

W celi przebywało w tym czasie około pięćdziesięciu osób. O położeniu się czy spaniu nie było nawet mowy. Ale już następnego dnia wieczorem usłyszeliśmy komendę "wychadzi" i zaczęto załadowywać nas do samochodów. Samochody po wyjechaniu z więzienia przejechały ulicami Hetmańską, a następnie Żółtkowską i skierowały się w to miejsce, gdzie kiedyś było boisko "Kolejarza", przy ulicy a właściwie Szosie Żółtkowskiej. Tam zaś była bocznica jakiegoś zakładu i tam na torach stały wagony kolejowe.

Załadunek odbywał się bardzo sprawnie. Samochód podjeżdżał na wstecznym biegu do drzwi wagonów i przechodziło się wprost z samochodu do wnętrza wagonu. Kiedy tam zajechaliśmy - zastaliśmy już sporo osób. Każdy, gdy wchodził do wagonu - podawał swoje nazwisko i w ten sposób przedstawiał się.

Kiedy wszedłem, przedstawiłem się: Józef Lenczewski z Białego stoku. Wówczas odezwał się pan Michał Fulmyk z Łomży. Ten pan Fulmyk z Białegostoku i drugi pan - Szaciłowski z Białegostoku widzieli, w jakim jestem stanie. Pan Szaciłowski widząc moje cierpienie ulokował mnie w kąciku i dał koc. Tym kocem mnie owinięto i tak leżałem.

Kiedy transport ruszył, zaczęliśmy organizować podróżnicze życie. Wagon był bardzo przepełniony. Ciasno było do tego stopnia, że gdy jedna połowa spała, to druga w tym czasie musiała stać. Po jakimś czasie następowała zmiana. Tylko ja jeden nie podlegałem tej rotacji i byłem niejako faworyzowany. Przez całe dwa tygodnie podróży przeleżałem w tym kącie. Stan mojego zdrowia był nieciekawym.

Oczywiście w czasie podróży otrzymywaliśmy jakieś jedzenie. Przez cały czas musieliśmy znosić te "prewierki", stukania i sprawdzania w ten sposób szczelności wagonu.

Po dwóch tygodniach pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji i stał bardzo długo. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy może nie jesteśmy już u celu naszej podróży. I rzeczywiście tak było. Dojechaliśmy bowiem do stacji Ostaszów. Któryś z kolegów zdołał odczytać przez szczelinę nazwę stacji.

Usłyszeliśmy komendę "wychadi". Zaczęliśmy wychodzić. U nich jest taki zwyczaj, że w takich sytuacjach po wyjściu z wagonu należy kucnąć, bo to ma utrudnić ewentualną próbę ucieczki. Było to z całą pewnością niepotrzebne przynajmniej w stosunku do nas: byliśmy bowiem wymęczeni podróżą, a ponadto wielu z nas doświadczyło bicia podczas badań. W dodatku perony na stacji były wyjątkowo brudne.

Tu muszę wrócić jeszcze do naszej podróży. Otóż w sąsied-

nim wagonie jechał ktoś, kto prawie bez przerwy wołał przerażającym głosem: "wypustitie, wypustitie". Do dziś jeszcze słyszę ten głos. To nie był głos czy krzyk - to było wycie. Najwyraźniej ten człowiek doznał pomieszania zmysłów.

Kiedy nas wyładowano, zaczęto nas prowadzić. W czasie tego marszu spotkałem znajomego / Stasia Tyszkę/, który ze mną współpracował w konspiracji, znał wszystkie punkty kontaktowe. Kiedy go zobaczyłem, byłem tym bardzo zaskoczony. Nie wiedziałem, że on tu jest i w jaki sposób tu się dostał. Byłem tego bardzo ciekawy.

Wkrótce dowiedziałem się, że gdy mnie zatrzymano i długo nie wracałem do domu, moja mama - która wiedziała, że my współpracujemy i dużo o sobie wiemy - poszła do niego zapytać, gdzie ja jestem. Ponieważ on jeden /oprócz mnie oczywiście/ znał ten punkt Rosy, na którym mnie wzięto - poszedł tam. Mnie wzięto chyba w sobotę, a on tam poszedł w niedzielę i oczywiście wpadł. I tą drogą trafiliśmy razem do Ostaszkowa.

Konwojenci sformowali z nas kolumnę. Strażnikom towarzyszyły psy. Bajcow było też dużo. Pilnowali nas dokładnie, a my byliśmy ledwie żywi i ani nam w głowie była jakakolwiek myśl o ucieczce. Kiedy tak szliśmy, spotykaliśmy miejscowych ludzi idących do pracy. Miejscowi pytali konwojentów: kto oni? Konwojenci nie odpowiadali, ale odpędzali pytających. Wówczas ci zaczęli zgadywać - kim my jesteśmy. Padały przypuszczenia: esesmani lub coś podobnego. A może to Niemcy? Strażnicy odpowiadali: a czort ich wie. Bo oni najwyraźniej nie wiedzieli, kogo naprawdę konwojują.

Wreszcie przed sobą zobaczyliśmy teren ogrodzony, co jakiś odcinek - wyżki. Znaczyło to, że jesteśmy u celu. Zatrzymano nas

przed bramą obozu i zaczęła się prowierka. Tu jakoś mieliśmy szczęście, bo już za pierwszym razem zgodziło się. Bo to, że nas liczone po kilka razy, było normalne. A tu zgodziło się już za pierwszym razem.

Prowierka i przekazanie nas straży obozowej odbywało się w ten sposób, że po prawej stronie stali nasi dotychczasowi konwojenci. Natomiast po prawej stronie stała komendantura obozu. Zaczęło się liczenie. I - jak już mówiłem - zgodziło się za pierwszym razem.

Kiedy tak staliśmy - zauważyliśmy studnię. Tu muszę jeszcze raz wrócić do transportu. Podczas podróży dawano nam od czasu do czasu wodę. Mimo tego byliśmy bardzo spragnieni, bo do jedzenia otrzymywaliśmy rybę suszoną, a to bardzo wzmagało pragnienie. Otrzymywaliśmy też chleb, ale nie pamiętam w jakiej ilości. Takie jedzenie powodowało silne pragnienie. Otrzymywaliśmy natomiast wiadro wody na wagon - w wagonie było pięćdziesiąt osób - to było bardzo mało. W dodatku nie mieliśmy żadnych naczyń. Piliśmy więc z kolejno z wiadra. Starszy wagonu - którego wcześniej wybraliśmy - pilnował jedynie, żeby każdy się napił. Ale jeden z nas w jakiś niezrozumiały wprost sposób zdołał przechować puszkę po "Swinnej tuszonce". Kiedy zajechaliśmy do Ostaszkowa, tam już leżał śnieg. Kiedy jeszcze jechaliśmy, on tę puszkę przywiązywał do sznurka lub paska, spuszczał przez otwór kłócny w podłodze wagonu i w ten sposób łapał śnieg.

W ten sposób mieliśmy dodatkowe picie. Tak zdobyty śnieg był sprawiedliwie dzielony pomiędzy wszystkich jadących. Takie zbieranie śniegu odbywało się bez przerwy.

I oto po takich cierpieniach nagle zauważyliśmy studnię.

Była to studnia tak zwana "kiwajka", to znaczy, że jeden musiał pompować. Obok studni była "wylewka". Do tej studni natychmiast ustawiała się kolejka, w której i ja się znalazłem. Byliśmy bardzo spragnieni, wydawało się, że człowiek by tę wodę pił i pił. Straż obozowa zaczęła nas odpędzać od tej studni. Gdy ktoś zdołał się napić, natychmiast ustawiał się na końcu kolejki, aby napić się jeszcze raz.

Po jakimś czasie władze obozowe opanowały sytuację. Wypędzono nas na duży plac obozowy. Przed nami pojawił się sam komendant i zaczął czytać nam regulamin obozowy. Zaczęto też przydzielać nam baraki.

I w tym właśnie czasie, gdy komendant zapowiadał o surowych karach za naruszenie regulaminu - jeden z naszych zaczął uciekać - biegnąc wprost na druty. Było to co najmniej dziwne: był przecież biały dzień, uciekinier nie miał żadnych, ale to żadnych szans. Straże oczywiście czuwały: z wyżki wartownik "pociągnął" z karabinu maszynowego i było po wszystkim. Jak się okazało wkrótce - to był ten - który tak krzyczał w czasie drogi: wypustitie, wypustitie.

To była pierwsza nasza ofiara w Ostaszkowie. Byłem przy tym i nie mam wątpliwości, że to było morderstwo: przecież to była ucieczka w biały dzień na oczach wielu ludzi. To przedsięwzięcie nie miało żadnych szans powodzenia. Aby w ogóle wydostać się poza teren obozu, trzeba było pokonać druty i to druty potrójne. Władze obozowe przy tej okazji chciały nas przestraszyć - że nie cofną się przed niczym i że z nimi nie ma żartów.

Otrzymałem przydział do baraku numer osiem. Trafiłem tam z kolegą Stasiem Tyszką. W baraku były prycze piętrowe. Uloko-

waliśmy się na pryczy górnej. Na górze byliśmy: doktor Fulmyk, Stasio i ja. W pobliżu ulokowali się nasi znajomi. Po obejrzeniu baraków stwierdziliśmy, że jest tu lepiej niż w wagonie. Ale oczywiście nie było żadnych sienników. Prycze i miejsca do spania to były gołe dechy i do tego nierówne. Do snu układaliśmy się w ten sposób, że pod głowę kładło się buty, a na nie mundur. Spałem w bieliźnie, porwanej w czasie śledztwa. Przykrywałem się płaszczem.

Całe szczęście, że spaliśmy jeden przy drugim. Było bardzo ściśle i w ten sposób ogrzewaliśmy się ciałami. Najgorzej było nocą, gdy trzeba było wyjść. Po powrocie miejsce było oczywiście zajęte i trzeba było wciskać się siłą. Ale mimo tego w porównaniu do tego, co mieliśmy w wagonie - były to warunki możliwe. Tu wszyscy mogli spać.

Przed snem rozmawialiśmy i ktoś zaproponował, aby odmówić modlitwę. Pomodliliśmy się i położyliśmy się spać. Raptem usłyszeliśmy wrzask i krzyk. Natychmiast zapalono światło i tego, co zobaczyliśmy - nie da się opisać: cały, dosłownie cały sufit, ściany i dalej jak wzrok sięgał - było czerwone. To były pluskwy. Atakowały nie tylko z góry, ale i z dołu a nawet z boku. Pluskwy były tak chytre, że spadały na nas z sufitu - naprawdę nie przesadzam. To było coś potwornego.

Oczywiście zaczęliśmy się od nich oganiać. w takiej atmosferze doczekaliśmy do rana. Kiedy zjedliśmy "pochłopkę", przystąpiliśmy do sprzątnięcia. Ale to prawie niczego nie zmieniło. Oczywiście zniszczyliśmy wiele gniazd, ale to były ilości niezauważalne.

Rano otrzymaliśmy pierwsze śniadanie. Była to kawa oraz chyba - jeśli dobrze pamiętam - pięćset gramów chleba. Ale to był

taki chleb, że gdy ścisnęło się kromkę, to z niej popłynęło kilka kropel wody. Był to taki chleb niedopieczony i ciężki. Jedynie taką zwaną "piętka" była rzeczywiście dopieczona. Tę piętke otrzymywało się w kolejności. Tego przestrzegano skrupulatnie i uczciwie. Komendantem naszego baraku został ten sam kolega, który w czasie podróży był komendantem wagonu, bo cieszył się powszechnym szacunkiem.

Zaczął się nasze życie obozowe. Do pracy nigdzie nas nie ganiano. Wśród obozowiczów znalazłem kilku kolegów z Białegostoku. Przy okazji rozmów ze znajomymi okazało się, że nasz transport był już trzecim z kolei. W sumie w obozie jednocześnie przebywało około trzech ~~ludzi~~ tysięcy ludzi.

Jak się wydaje - osiemdziesiąt procent stanu osobowego stanowili akowcy. Oprócz nas byli też Folksdojcze, część kryminalistów oraz Białorusini, którzy w czasie wojny wstąpili do legionu białoruskiego i walczyli u boku Niemiec. Takie to było towarzystwo. W obozie była też część Niemców, którzy w obozie obsługiwali kuchnię, ale tylko przez pewien czas. Nie pamiętam kiedy - wycofano ich z obozu i tymi sprawami gospodarczymi zajęli się nasi.

Oprócz tych kategorii osób byli też najzwyczajniejsi złodzieje i ci byli traktowani najlepiej. Byli to Rosjanie, którzy zajmowali obozowe stanowiska. Najgorzej mieliśmy my.

Początkowo - jak już mówiłem - nie pracowaliśmy. Wówczas do pracy mogli chodzić ci, którzy mogli pracować wewnątrz zony. W tym celu stworzony na przykład zakład szewski, gdzie pracował nawet jeden z Białegostoku - nazwiska nie przypominam sobie - był nawet kierownikiem pracowni szewskiej. Ponadto powstał też zakład stolarski, dalej: mechaniczny, ślusarski. Część

obozowiczów pracowała w elektrowni i w piekarni oraz w kuchni. Jak już wcześniej powiedziałem - początkowo takie intratne stanowiska jak na przykład "chleborezka" zajmowali Rosjanie kryminaliści, a później nasi.

Na śniadanie otrzymywaliśmy kawę oraz chleb. Do tego dochodziła jedna łyżka kaszy. Tak wyglądało nasze śniadanie. Jako naczynia mieliśmy puszki po "swinnej tuszonce". Jedliśmy w ten sposób, że do tej puszki wkładało się otrzymaną kaszę, do której wkruszało się część chleba. Do tego dosypywało się małą łyżeczkę kaszy. Te wszystkie elementy następnie należało wymieszać i jeść. Kiedy po latach spotkałem się z Szydłowskim, zapytał mnie: słuchaj, czy ty jadłeś coś bardziej smaczniejszego niż to?

Nigdzie do pracy nas nie wyprawiano. Po dwóch tygodniach od naszego przyjazdu doczekaliśmy tej chwili, że mogliśmy ~~prój~~ pójść do łaźni. Dopiero wówczas miałem możliwość wymienić swoją podartą bieliznę na całą i czystą. Przy tej okazji powstał też kłopot. Bo tam przy okazji łaźni oddawało się swoje rzeczy do dyzjenfekcji, bo każdy z nas miał przecież wszy. Najgorsze było jednak to, że niektórzy z nas byli w kożuchach. Kożucha do dezynfekcji oddać niesposób, bo nic z niego nie będzie. Kiedy więc wyganiano wszystkich do dyzjenfekcji, to taki posiadacz kożucha chyłkiem wynosił go do kogoś znajomego. W ten sposób kożuch omijał dezynfekcję, właściciel go odbierał i znowu wszystko było tak jak było: wszy nadal szalały, bo kożuch jest wspaniałym ich siedliskiem. Tego dłużej tolerować nie było można. Wówczas zagroziliśmy posiadaczom kożuchów, żeby ich się pozbyli. Mogli przecież z łatwością sprzedać je Sowie-
tom. Jeśli tego nie zrobią - odbierzemy im. W tej sytuacji pozbyli się kożuchów.

Z jednym był jednak kłopot - z jednym z obozowiczów. O nim już ktoś pisał - czytałem - i to pisał dość niepocholebnie. Był to jakiś "starowier". Pamiętam to, bo tam wszystkich obozowiczów golono "pod zero", a ten człowiek nie dawał się ostrzyć. Nadal chodził zarośnięty, bywał z nami w łaźni z tym tylko, że nie dał się ostrzyć. I ktoś o nim właśnie pisał, że on był taki inny i chodził zarośnięty. A mnie właśnie ten człowiek zaimponował.

Starano się go zmusić do ostrzyżenie: co z nim nie robiono. Straszono go na różne sposoby, on zaś twardo bronił się. Na wszystkie nalegania czy później groźby miał tylko jedną odpowiedź: nie. I postawił na swoim. Mył się normalnie - jak my wszyscy, dawał do odkażania swoje ubrania. Jedynie nie pozwalał ściąć sobie włosów, bo jemu tego zabraniała jego religia. I tym właśnie mi zaimponował: pomimo nacisków i przeróżnych szykan - wytrwał. Cenię go za to, że w tak trudnych warunkach wykazał tyle odwagi.

Zaczęło się życie obozowe. Po jakimś czasie z naszego obozu wyjechał pierwszy transport do Riazania. Transport objął połowę stanu osobowego obozu. W sumie wywieziono około tysiąca pięciuset osób. Był to rok 1946-ty, chyba marzec. Dopiero po ich wyjeździe zaczęto tworzyć brygady robocze.

Przy tej okazji zamierzam opowiedzieć, jak spędziliśmy pierwsze święta Wielkanocne. Bowiem Boże Narodzenie, które też spędziliśmy już w obozie - były smutne dlatego, że byliśmy świeżo po przyjeździe, niezadomowieni. Oczywiście nie minęły one tak zupełnie bez echa: śpiewaliśmy zwłaszcza w jednym z baraków, w którym był ksiądz. Tam te święta były obchodzone dość uroczysto. Natomiast, gdy przyszły święta Wielkanocne, czuliśmy

się znacznie pewniej w obozie. Do pracy nadal jeszcze nie chodziliśmy. Te święta zorganizował doktor Fulmyk. Ten pan zajmował w obozie pozycję nieco odmienną niż pozostali obozowicze. Początkowo był starszym baraku. Gdy władze obozowe dowiedziały się, że w cywilu jest on stomatologiem - a w obozie akurat stomatologa brakowało - wydzielono mu specjalny pokój, w którym miał on swój gabinet stomatologiczny. Do tego pokoju z gabinetu przeniósł się. Tam pracował i mieszkał, spał, miał w ogóle lepiej.

Mimo tej zmiany nadal utrzymywałem z nim ścisła kontakt - on był takim moim ojcem obozowym. On się mną opiekował. Nie tylko zresztą mną - opiekował się też swoją córką oraz jeszcze jedną osobą - Haliną Matysiewicz, która w konspiracji była łączniczką i miała pseudonim "Kozą". My wszyscy byliśmy jego obozowymi dziećmi.

Pewnego razu on zwrócił się do mnie z propozycją: słuchaj Józiu, świąteczne jajko zrobimy u mnie. Oprócz mnie zaprosił też Stasia Tyszkę. Ponadto była tam także Halinka Matysiewicz, Józio Lemisiewicz, który był pomocnikiem Fulmyka, jego asystentem. Oprócz wymienionych były jeszcze dwie osoby z Sokółki, ale ich nazwisk - niestety - nie pamiętam. Było to małżeństwo: inżynier z żoną. Przed przyjęciem każdy z nas coś przyniósł i przekazał Fulmykowi. O umówionej godzinie zebrał się wszyscy w jego gabinecie. Gospodarz - doktor Fulmyk - zdobył skądś jedno jajeczko, które podzielił na siedem czy osiem części, bo tylko nas się zebrało. Do każdego kawałka jajka był patyczek, bo takie tylko były możliwości.

Złożyliśmy sobie życzenia. Gdy tylko zdążyliśmy zjeść ten kawałek jajka - rozległo się gwałtowne łomotanie do drzwi. Kiedy otwarto drzwi - do środka wtargnęli NKWD-yści. Rozległa

się komenda : "ruki w wierch" i rozpoczęła się rewizja. Oni mają wyraźnie spodziewali się tu Bóg wie czego. Doktor Fulmyk zaczął im tłumaczyć, że tu nic szczególnego się nie dzieje. U nas w Polsce tak jest przyjęte, że w czasie tych świąt urządza się przyjęcie i właśnie myśmy się spotkali w tym celu, żeby zjeść śniadanie Wielkanocne.

Te argumenty nie trafiły do ich przekonania. Zabrano nas do obozowego karceru. Obozowy karcer mieścił się głęboko pod ziemią. Podłogi tam oczywiście nie było. Pod nogami leżały drągi. A że to była wczesna wiosna - było tam pełno wody. Nie było nawet mowy o tym, aby się położyć czy nawet usiąść. W takich warunkach spędziliśmy wszyscy razem w karcerze dwie noce. Dopiero trzeciego dnia nas wypuszczono.

Jak się później okazało - oskarżono nas czy też tylko podejrzewano, że organizujemy jakąś ucieczkę i stąd ten nalot i surowe potraktowanie.

Jak już wspominałem - pierwszy transport w ilości około tysiąca pięciuset osób - wyjechał do Riazania. Oczywiście wyjeżdżającym mówiono, że oni jadą do Polski. W tym transporcie znalazł się mój kolega Stasio. W tym transporcie znajdował się późniejszy ksiądz z kościoła św. Wojciecha. Wówczas on był klerykiem. Wcześniej mieszkał w moim baraku, ale mimo tego nie pamiętam jego nazwiska. Był to bardzo fajny facet. Tu muszę dodać że w naszym obozie było kilku księży, ale wszystkich ich wówczas zabrano.

Kiedy ten transport odjechał, wzięliśmy się za nasze baraki. Rozbieraliśmy wszystko pryncze i trudno uwierzyć, co tam znajdowaliśmy: szufelką wymiataliśmy gniazda pluskiew. Ktoś z nas zdobył ~~gorącą~~ żelazną beczkę. Do niej wrzucaliśmy wymiecione

gniazda pluskiew, które natychmiast zalewaliśmy wrzątkiem. Ale i to nie dawało pełnego efektu. Odbijaliśmy wszystkie deski, demontowaliśmy wszystkie prycze, ale do końca nie zwalczyliśmy tej plagi.

Dopiero gdy wyjechał ten pierwszy transport do Riazania - a zapewniano nas, że oni jadą do Polski - /rzecz wydała się wkrótce dzięki konwojentom, którzy po powrocie ze śmiechem mówili, dokąd odszedł transport przez nich konwojowany/ - z pozostałych stworzono takie brygady robocze: Ci, którzy pracowali już wcześniej na terenie obozu, mieli nieco lepiej, gdyż praca stwarzała możliwość organizowania sobie dodatkowego jedzenia. Wystarczyło na przykład komuś z władz obozowych coś zrobić jako "fuchę", aby otrzymać zapłatę w postaci dodatkowego jedzenia.

Dobrze też mieli obozowicze zatrudnieni w warsztacie ślusarskim, bo oni otrzymywali wiele takich zamówień. Pracował tam pewien człowiek z Białegostoku, który wcześniej był rusznikarzem. Był to człowiek "złota rączka". Reperował między innymi maszyny. Ciekawa rzecz: w obozie go nie poznałem bliżej. Dopiero po powrocie poznaliśmy się bliżej. Ten człowiek mieszka i teraz w Białymstoku. On znalazł się w Ostaszku w pierwszym transporcie i był do końca.

Do naszego obozu po jakimś czasie przywieziono sztab generała "Wilka". Komendantem obozu początkowo był jakiś człowiek, który pochodził z lubelskiego. Po nim to stanowisko objął Franciszek Koprowski. Miał pseudonim "Dąb" i był cichociemnym. Mowa tu oczywiście o komendantach ze strony więźniów - Polaków. Wcześniej był dowódcą szóstej Brygady Dyspozycyjnej. Przy tej okazji chcę dodać, że w połowie 1946-go roku do obozu w Ostasz

wie zostali przywiezieni wyżsi oficerowie sztabowi okręgu Wileńskiego. Wśród nich byli: pułkownik dyplomowany Adam Szydłowski - "Poleszuk", cichociemny, komendant podokręgu Nowogródek; kapitan dyplomowany Ludwik Fortuna "Siła", też cichociemny, szef sztabu podokręgu;

- mjr dyplomowany Teodor Cetys, "Sław", cichociemny, szef sztabu oddziałów polowych okręgu Wilno i Nowogródek.
- mjr dyplomowany Mieczysław Potocki, "Węgielny", dowódca drugiego zgrupowania wileńskiego AK.
- Kazimierz Radzikowski, "Robur", szef oddziału czwartego, kwatermistrzostwa.
- mjr Zbigniew^w Brodzikowski, "Hańcza", szef oddziału pierwszego, organizacyjnego.
- Franciszek Koprowski - o nim już wspominałem.

Dopiero właśnie wówczas zaczęły tworzyć się bragdy robotnicze. Zaczęto tworzyć brygady zatrudniane na zewnątrz obozu. Pracowały one w pobliżu. Najlicniejsza brygada pracowała w Korzawodzie czyli w pobliskiej garbarni. Bo właśnie w Ostaszkowie były bardzo duże zakłady garbarskie. Jak nam opowiadali miejscowi Rosjanie, właśnie na wyspie jeziora Solinger, był monastyr, zbudowany oczywiście w czasach carskich. Uważano przy tym, że Ostaszków i jego okolice uważano za najbiedniejsze tereny Rosji. Tam wyszystko dojrzewało bardzo późno, a okres wegetacyjny był bardzo krótki. Z tego powodu oni bardzo często nie zdążyli dokonać zbiorów. Na tamtych terenach było bardzo dużo łąk. Jak opowiadali miejscowi Rosjanie - zakonnicy z miejscowego monastynu zaczęli prowadzić hodowlę bydła. Całe to przedsięwzięcie prowadzono z dużym rozmachem. A tam, gdzie jesz hodowla, tam jest duż^a ilość skór i dlatego właśnie tam powstała

garbarnia. Był to właśnie wspomniany już "Korz - zawod". Oczywiście w tym czasie, kiedy tam byliśmy, zakonników dawno już tam nie było. Zostali usunięci przez władzę radziecką. Ale garbarnia została i w dalszym ciągu produkowała skóry. Właśnie do tej garbarni chodziła do pracy od nas brygada. Była to liczna brygada, liczyła bowiem około stu osób.

Dookoła Ostaszkowa były rozległe torfowiska. Kiedy przyjechaliśmy do Ostaszkowa, w pierwszej chwili z oddali sądziłem, że widzę sporą ilość domów. Dopiero później spostrzegłem, że są to liczne, dość sporych rozmiarów sterty wydobytego już torfu. Z daleka rzeczywiście można było mieć wrażenie, że są to domy, tyle że bez okien. Ten torf wydobywano właśnie na potrzeby garbarni. Za pomocą torfu opalano pomieszczenia fabryczne oraz uruchamiano maszyny.

Gdy sformowano brygadę do pracy w garbarni, nie zapisałem się do niej. Obecny w obozie mój kolega - Adam Budzikowski podpowiedział mi, że w obozie trwa tworzenie kolejnej brygady. Miała to być brygada łączności. Właśnie on zaproponował mi wstąpienie do tej brygady. On w cywilu był kolejjarzem, ale wcześniej pracował w Wilnie w łączności. Ja natomiast nie miałem o tym najmniejszego pojęcia. Powiedziałem mu wprost: słuchaj, Adaś, ja nie mam o tym najmniejszego pojęcia. Ale Adam, który był przewidywany na stanowisko samego brygadiera tej brygady pocieszał mnie: nauczysz się.

Dałem się przekonać i zapisałem się do tej brygady. Na początku ciągnęliśmy linie telefoniczne w kierunku miejscowości Bałagoje. Ciągnęliśmy przewody nie do samego miasta lecz tylko na wyznaczonym odcinku. Nasze prace - pamiętam - trwały w zimie. Nasze wyposażenie robocze stanowiły sanie, kołowrót z

drutem. Każdy z nas miał też sprzęt indywidualny jak: słupolazy, cążki, druty do przywiązywania. Mieliśmy ponadto izolatory, świdry, którymi po wejściu na słup można było wywiercić dziurę do zamontowania izolatora. Jednym słowem mieliśmy takie wyposażenie, jakie otrzymują łącznościowcy.

Pamiętam mój pierwszy dzień pracy. Kiedy zaszliśmy na miejsce, zobaczyliśmy wysokie, bardzo wysokie słupy. Teren dookoła był bagnisty. Wcześniej w terenie wbijano w wyznaczonych miejscach specjalnie przygotowane szyny, pomiędzy którymi następnie montowano słupy. Jednak tam inaczej to wygląda niż u nas. Nasze słupy mają wymiary znormalizowane. Mają jednakową wysokość i grubość. Tam słupy nie były równe, a obojętne, o jakiej średnicy. Jednakże generalnie tamtejsze słupy były wyraźnie wyższe ze względu na bagnisty teren, który wymagał wysokiego zawieszenia linii /drutów/. W tamtejszym klimacie nie bez znaczenia były też wyjątkowo śnieżne zimy.

Linie prowadziliśmy przy torach. Gdy pierwszy raz zacząłem wchodzić na słup, w połowie wysokości obleciał mnie strach, gdy spojrzałem w dół. Pół biedy, gdyby to był słup gładki jak u nas. Tu słup był objęty szynami i ewentualne obsunięcie groziło prawdziwym nieszczęściem. Adam - jak zwykle - zaczął mnie uspokajać: nie przejmuj się, to pierwszy raz, nauczysz się. Przecież nikt nas nie pędzi, będziemy pracować powolutku, nauczysz się szybko.

Mieliśmy z nami takiego Sowietę, którego zadaniem było pilnowanie nas. Nasz nadzorca okazał się wyjątkowo porządnym człowiekiem. Przez pierwszy dzień i chyba drugi rzeczywiście był z nami. Ale w następnych dniach gdzieś się pałętał w pobliżu. Nie wtrącał się do pracy.

Nasza praca była oczywiście znormowana w tym sensie, że mieliśmy do wykonania dzienną normę. Nie była ona zbyt wygórowana, gdyż zwykle wykonywaliśmy ją na dwie godziny przed wyznaczonym czasie^{em}. Jednak pilnowaliśmy się, żeby natychmiast po wykonaniu normy nie wracać do obozu. Obawialiśmy się i chyba słusznie, że to nam groziło zwiększeniem normy.

Nasz sprzęt woziliśmy na saniach, bo była już zima i leżało tam bardzo dużo śniegu. Każdorazowo po zakończeniu pracy nie ciągnęliśmy sań z naszym sprzętem do obozu lecz zostawialiśmy przy kolejowej stolarni. Stolarnia ta pracowała na potrzeby kolei. Pracowało tam trzech Rosjan. Pracował tu starszy pan, którego życzliwie nazywaliśmy "dziadzia Wania" i jeszcze jego dwóch kolegów.

Kiedy wychodziliśmy z obozu do pracy przy budowie linii, zabieraliśmy ze sobą tak zwany "suchy pajok". Na ten "suchy pajok" składała się też niekiedy "bałanda", cienka zupka obozowa, którą w pracy podgrzewaliśmy. W stolarni był żelazny piecyk, z którego mogliśmy korzystać. Bałandę gotowaliśmy w specjalnie do tego przeznaczonej, dużej bańce, z której zagotowaną zupę rozlewaliśmy i każdy pił. I tu przeżywaliśmy coś bardzo przykrego: gdy piliśmy tę bałandę, to te trzy pary oczu trzech zatrudnionych w stolarni Rosjan - ludzi przecież wolnych w swoim kraju patrzyli na nas wymownie. Patrzyli oczyma ludzi niesamowicie głodnych. Wydawało się nam, że chcą nam to zabrać, tak są głodni.

Kiedys nie mogliśmy tego znieść i jedną porcję daliśmy temu "dziadzi Wani". Ci dwaj pozostali patrzyli na nas i na niego z nieukrywaną zawiścią. A byli to - przypominam - wolni przecież ludzie w swoim, też wolnym kraju. Nie mogliśmy na to pat-

trzeć. Z biegiem czasu, gdy się nieco wzajemnie przyzwyczailiśmy zacząłem rozmawiać z dziadzią Wanią. Okazało się, że w czasie wojny stracił całą rodzinę i obecnie mieszkał samotnie. Było mu bardzo ciężko.

Z biegiem czasu zaprzyjaźniliśmy się z nimi wszystkimi. Kiedy rano wyruszaliśmy do pracy po przyjeździe z obozu i zabieraliśmy od nich nasz sprzęt na saniach, codziennie przejeżdżaliśmy obok wyjątkowo dużego, obszernego drewnianego budynku. Ponieważ tam - jak już wspominałem - teren był błotnisty, budynki budowano na palach. Ten budynek też był tak zbudowany. Z wyglądu nietrudno było poznać, że ten budynek pełni rolę jakiegoś magazynu, tylko że nie wiedzieliśmy, co się w nim znajduje.

Pale, na których wspierał się budynek, miały wysokość około osiemdziesięciu centymetrów. Tego magazynu pilnowała "babuszka" z karabinem na ramieniu. To wszystko bardzo nas intrygowało: co tam może być w magazynie, skoro nawet jest on pilnowany. To musi być coś naprawdę cennego.

Wśród nas był jeden chłopak, wyjątkowy spryciarz. I on zaproponował takie rozwiązanie: idźcie i zagadajcie tę babuszkę - w tawniczkę, a ja wleżę pod spód i sprawdzę. On już wcześniej zdołał wypatrzeć, że my przenieź mamy świdry, a podłoga w magazynie jest drewniana. I rzeczywiście: on wlaź pod podłogę i wywiercił dziurę w podłodze. I oto przez dziurę zaczęło sypać się zboże. Teraz już nie mieliśmy już wątpliwości, że tu magazynuje się zboże.

On natychmiast dziurę czymś zatkał, przyszedł do nas. My szybko pożegnaliśmy babuszkę i odeszliśmy. Wówczas dopiero on nam powiedział, że tam jest zboże. Gdy on nam to powiedział, wręcz o- niemieliśmy z wrażenia. Natychmiast w jeden z nas wrócił do sto

larni, w której pracowali Rosjanie i poprosił ich, żeby oni "zawtra mieszok pryniesli". Oni wprawdzie nie wiedzieli, do czego nam nagle potrzebny jest worek, ale obiecali, że "charaszo, pryniesiom".

Na drugi dzień poszliśmy pod magazyn już z workiem, oczywiście starannie ukrytym. I tu jeszcze muszę powiedzieć, że Rosjanie mieli w stolarni żarna do mielenie zboża. Teraz, gdy po-
deszliśmy pod magazyn, zaczęliśmy zagadywać wartowniczkę. Natomiast jeden z naszych poszedł do dziury i nasypał zboża około połowy worka. Następnie to zboże odciągnął do sań i okrężną drogą odwiózł do stolarni. Kiedy następnie wróciliśmy wszyscy do stolarni, to mąka z ukradzionego przed chwilą zboża była już gotowa. Po chwili na rozgrzanej kuchence zaczęło się pieczenie placków. Były one bardzo smaczne. Cała ta sprawa spowodowała, że zaprzyjaźniliśmy się bliżej ze stolarzami - Rosjanami. Także i pilnujący nas konwojent jadł z nami, a doskonale wiedział, jak do tego doszło.

Można właściwie powiedzieć, że praca przy budowie linii telefonicznej to była pierwszorzędną robotą. I tak to trwało chyba ze dwa tygodnie. W końcu chyba ta kobieta - strażniczka musiała się w czymś zorientować. Kiedy przypilnowała nas i zauważyła jednego z nas w chwili, kiedy z workiem wydostawał się spod magazynu. Narobiła z tego powodu niesamowitego szumu. Ale my jej spokojnie tłumaczyliśmy: babuszka, co wy nas straszycie, przecież nam obozowiczom, więźniom właściwie nie zrobią już nic. Ale wy pójdziecie "w tiumu" za to, że nie dopilnowaliście magazynu.

Jak łatwo się domyśleć - sprawa zakończyła się pokojową. Wartowniczką nikomu o tym nie zameldowała. A i my też przesta-

liśmy tam chodzić, bo kobieta teraz już pilnowała dokładnie. Nie mogliśmy ryzykować.

W międzyczasie zmarł "dziadzia Wania". I tu rzecz niesamowita: nie było komu go pochować. To my poprosiliśmy konwojenta, a ten zwrócił się w tej sprawie do komendanta naszego obozu w tej sprawie. Ustaliliśmy, że my tym razem wrócimy później, bo chcemy pochować "dziadzię Wanię". Stolarze zrobili jemu jakąś trumnę, ktoś dał konia. Zajechaliśmy na cmentarz, na którym wykopaliśmy grób, do którego złożyliśmy ciało "dziadzi Wani".

Tu refleksja natury ogólniejszej: tam trafialiśmy na Rosjan w takim położeniu, że było nam ich niesamowicie żal, że wypadało nad nimi tylko płakać. Oni tam żyli w gorszych warunkach na wolności niż my w obozie. Tego się nie da opisać ani odpowiedzieć wyczerpująco na podstawowe pytanie: jak ci ludzie w tych strasznych warunkach mogli wytrzymać i to przez tak długi czas?

Wkrótce praca przy budowie linii telefonicznej zakończyła się i wróciliśmy do obozu. Dalej pracowałem ale już w innych bragadach.

Jednak muszę opowiedzieć jeszcze o dziejach innej polskiej brygady, która jest ilustracją: jak Polacy potrafili sobie dać radę. Chodzi o stuosobowej brygadzie pracującej w "kor-zawodzie" czyli w garbarni. Oni oczywiście pracowali na zewnątrz garbarni. Nikt i nigdy nie wpuszczał ich do środka. Ale, gdy mieli coś wyjątkowego do załatwienia, do wchodzili do niektórych pomieszczeń, w których wyrabiano skóry. Szybko zorientowali się, że w tej garbarni wytwarzane są dwa rodzaje skóry: miękka i twarda. Pierwszym odkryciem naszych chłopców był ogromny baniak, który kształtem przypominał dużą cysterne. Obejrzel ją dokładnie, ale że była zamknięta dokładnie, nie dowiedzieli się, co

znajduje się wewnątrz. Zauważyli też, że Powieci do niej nie podchodzili. Ale nasi specjaliści otworzyli wreszcie ten baniak. Okazało się, że beczka zawierała tran, tak bardzo potrzebny do wyrobu skór, o czym Rosjanie nie wiedzieli. Był to ~~ok~~ tran aż z Norwegii. Widocznie to Niemcy zabrali go Norwegom, a z kolei Rosjanie Niemcom.

W naszych warunkach, przy naszym niedożywieniu i grożącym nam szkorbucie było to odkrycie bardzo cenne. Nasi "specjaliści" odkręcili odpowiednie zawory i zaczął się transport tranu do obozu. W obozie za ćwiartkę tranu dawano pajkę chleba. Tran był w naszej sytuacji nie tylko podstawowym lekarstwem, ale miał też wyjątkowe wartości odżywcze jako tłuszcz. Przez jakiś czas kwitł proceder z wynoszeniem tranu, ale do czasu. Widocznie ktoś coś musiał powiedzieć, bo zaczęła się dokładna rewizja. Sprawa wyglądała tak, że z garbarni łatwo było coś wynieść. Podstawową trudność stanowiło przeniesienie czegokolwiek przez bramę obozową.

Z przenoszeniem tranu w butelkach nie miało już szans. Ale postanowiono wykorzystać to, że strażnicy byli uwrażliwieni na butelki i podczas rewizji szukali właśnie butelek. Wówczas zaczęto kraść skóry. Wystarczyło okręcić się skórą pod ubraniem. Wartownicy "macali" przez ubranie szukając butelek, a skóry przemycano do obozu. Wartownik stwierdziwszy, że delikwent nie ma żadnego naczynia - przepuszczał.

Ale i w tej sprawie musiał nastąpić jakiś przeciek. Zaczęto podczas rewizji rozbierać ludzi do naga. Kontrole przeprowadzano zarówno przy wyjściu z garbarni jak i podczas wchodzenia do obozu. Gdy skóry znajdowali nasi w obozie, to zabierali je sobie. NKWD-yści brali dla siebie, a nie zwracali do fabryki.

Następnie zatrzymane skóry przekazywali naszym szewcom, którzy robili im buty. Ten, któremu zabierano skórę, nic nie robiono. Szewcy natomiast za zrobienie butów otrzymywali jakieś wynagrodzenie - oczywiście nieoficjalnie.

Jak już powiedziałem - podczas rewizji zaczęto ludzi rozbierać do naga. Ale przyszła zima i Polacy doszli do wniosku, że trzeba coś zmienić. Tym bardziej, że zaczęto wymierzać kary tym, którym skóry zabrano. Powstał więc inny pomysł. Mrozy nastąpiły bowiem siarczyste, ponad czterdzieści stopni. Wprawdzie miejscowi kręcili na takie temperatury nosem twierdząc, że to nie mróz lecz "czepucha". Mróz jest dopiero wówczas, gdy wynosi siedemdziesiąt stopni i "ptica w powietrzu zamierza jet", to dopiero jest mróz.

Zmiana procedury polegała na tym, że z pomieszczeń produkcyjnych wynoszono skóry już twarde do naszych sanek. Następnie sanki odwracano do kóry płozami i układano skóry warstwą na spodzie odwróconych sanek. Teraz tak ułożoną warstwę skór wystarczyło poleć wodą, która natychmiast zamarzała. Takich warstw można było ułożyć wiele. I w ten sposób zaczęto wywozić te skóry.

Ten sposób funkcjonował dość długo. Później stosowano jeszcze inny pomysł, bo ten z sankami też został ujawniony, gdyż nagle przy rewizji zaczęto przewracać sanki. Widocznie ktoś musiał powiedzieć. Sposób z sankami był o tyle dobry, że nie można było nikomu indywidualnie przypisać winy. Nawet ciągnący w danej chwili sanki zawsze mógł powiedzieć: ja tego nie ukradłem, nie wiem, kto te skóry tam położył.

Tak to sobie radziliśmy. Musieliśmy, bo w innym wypadku powykąnczilibyśmy się wszyscy.

Wreszcie władze obozowe zorganizowały brygadę do wydobywania torfu. W takiej brygadzie i ja pracowałem. Takich brygad było zresztą kilka. Ostatecznie jednak powstały dwie brygady, każda liczyła trzydzieści osób.

Wówczas między brygadami doszło do niepotrzebnej rywalizacji. Najpierw poszła do pracy pierwsza brygada - w której ja pracowałem - i wykonała w czasie zmiany cztery tysiące cegiełek. Druga natomiast brygada wykonała pięć i pół /chyba /takie cegiełek. W rezultacie, gdy my dostaliśmy czterysta gramów chleba, to oni już sześćset. W następnym dniu naszej brygady już nie trzeba było poganiać. Pracowaliśmy prawie biegiem. Gdy oni wykonali pięć i pół tysiąca cegiełek - my siedem tysięcy. Doszło do tego, że oficjalnie ustalona norma wynosiła dwadzieścia jeden tysięcy cegiełek.

Przyniosło to dla nas fatalne skutki. Część zapadła na dystrofię, część natychmiast znalazła się w szpitalu. Ja należałem do dystrofików i ważyłem wówczas trzydzieści dziewięć kilogramów.

Nadszedł rok 1947-my, kwiecień, kiedy to władze obozowe utworzyły jeszcze jedną brygadę. Stało się to na życzenie "korzawodu" czyli garbarni, a władze obozowe na to przystały. Ale ta brygada pracowała z taką wydajnością, że więcej spalono torfu w maszynie parowej niż go wydobyto.

Nadszedł maj 1947-go roku. Nagle rozeszła się wiadomość, że wyjeżdżamy. Przypominam, że gdy wyjeżdżał pierwszy transport to mówiono, że wy "do Polski jedziecie". Jak się wkrótce wydało, zawieziono go do Riazania. Ale też był i taki transport - zestawiony w styczniu 1946-go roku - o którym mówiono, że jedzie do Polski. Tym razem była to prawda - transport rzeczywiście

wyjechał do kraju. Kiedy my się zbieraliśmy do wyjazdu, też nam mówiono, że jedziemy do Polski. I my sami widzieliśmy, że składy pociągowe jechały do Polski. Wracali też miejscowi. Wracali Niemcy - cywile. Oni jechali w lepszych warunkach, bo mogli otwierać wagony. Nawet był taki wypadek, że podczas postoju pociągu młoda - może osiemnastoletnie Niemka - wyszła na peron i odeszła gdzieś dalej. I w tym czasie, gdy jej nie było - pociąg odszedł. Ponieważ w pobliżu pracowała nasza brygada, zabraliśmy ją do naszego obozu. Została w naszym obozie wśród kobiet.

Wieści o naszym wyjeździe do Polski były coraz częstsze i coraz głośniejsze. Pewnego razu do naszego obozu przyjechał nasz generał z Moskwy z mnóstwem "naczalstwa". Posłano nas do łaźni. Po kąpieli zmieniono nam bieliznę, ale wierzchnie ubranie pozostało to samo. Wszyscy byli zadowoleni, że wreszcie pojedziemy do Polski.

Dokładnie trzeciego maja 1947-go roku wyszliśmy wszyscy z obozu. Poszliśmy na bocznice obok stacji, gdzie czekał na nas podstawiony skład wagonów. Kiedy weszliśmy do wnętrza wagonów, byliśmy mile zdumieni: były prycze, słoma i siano. Warunki były takie, że każdy mógł swobodnie się położyć. To nas dodatkowo utwierdziło w przekonaniu, że naprawdę jedziemy do Polski, że to nie te warunki, które były w tę stronę.

Po załadowaniu nas do wagonów zamknięto drzwi oraz założono śruby z nakrętkami. To nas trochę zaniepokoiło. Tamci, którzy jechali wcześniej nie byli zamknięci i mogli sobie swobodnie otwierać drzwi. Zapytani strażnicy odpowiadali, że oni muszą dostarczyć dokładnie taką samą ilość osób, jaką otrzymali. Tamci jechali w otwartych wagonach bo to byli ludzie wolni, a my jesteśmy przecież "zakluczeni", i tak dalej.

Kiedy wreszcie pociąg ruszył stwierdziliśmy, że jakoś on niebardzo jedzie na zachód. Zaczęliśmy się zastanawiać, że coś tu nie bardzo zgadza się z kierunkiem. A wówczas któryś z nas zaczął tłumaczyć to bardzo oryginalnie: słuchajcie, nas wiozą teraz do Moskwy. Natomiast z Moskwy jest bezpośredni pociąg relacji Moskwa - Berlin i my właśnie tym pociągiem pojedziemy do kraju.

Nieco się uspokoiiliśmy. Po jakimś czasie rzeczywiście przyjechaliśmy do Moskwy. Tu staliśmy chyba ze dwa dni. Tu dawano nam posiłki. Wówczas jeden z naszych kolegów podszedł do kapitana sowieckiego, który był starszym konwoju i zapytał go, czy my jedziemy do Polski. On na to odpowiedział, że nic podobnego, że on konwojuje transporty tylko na terenie ZSRR. Nie mieliśmy już wątpliwości, że nas ponownie oszukano i że w to oszustwo angażował się sam generał. Ten właśnie fakt, że w przygotowanie niach do transportu uczestniczył generał i który nas zapewniał, że jedziemy do Polski przekonywał nas w zasadzie w stu procentach.

Ruszyliśmy wreszcie z Moskwy. Po drodze zatrzymaliśmy się raz na jakimś postoju. Wreszcie pociąg zatrzymał się na stałe. Odczytaliśmy stację - jej nazwę - Morszańsk. Rozległa się znana komenda "wychadi". Już teraz wiedzieliśmy z całą pewnością, że nie jedziemy do Polski. Ustawiliśmy się w kolumny i ruszyliśmy. Była bardzo piękna pogoda. Po kilku chwilach marszu weszliśmy w las: inne powietrze, wyraźnie odżyły nasze płuca, zaczęliśmy oddychać całą pierśią.

Przez las prowadziła żwirowana droga. W oddali zauważyliśmy jakąś bramę, a podszedłszy bliżej - zauważyliśmy ogrodzenie obozu. Po obu stronach bramy stali Japończycy. Wszyscy podobni

do siebie, czarni. Widząc nas zaczęli nas owacyjnie witać. Kiedy wchodziliśmy do obozu - oni machali do nas rękami i coś do nas mówili, ale po japońsku.

Był już maj. Natychmiast rzuciło mi się w oczy to, że było tu dużo kwiatów i klombów kwiatowych. Wyglądało to jak raj po Ostaszku, jak sanatorium. Ale kiedy pokazano nam baraki - okazało się, że są identyczne jak w poprzednim obozie. Tadeusz Nowakowski, Józio Limisiewicz, jeden taki Wacusz i ja postanowiliśmy, że nie wchodzimy do baraku. Postanowiliśmy zbudować sobie ziemiankę.

Obóz był obliczony - już teraz nie pamiętam - na dwadzieścia czy czterdzieści tysięcy ludzi. Zajmował ogromny obszar. Gdy nas przywieziono, w obozie przebywali: Japończycy, Austriacy, Niemcy i Węgrzy. Jako ostatni dołączyli Rumuni. Każda nacja zajmowała swoją zonę. Niemcy i Austriacy zajmowali zonę wspólną. To były zony organizowane na zasadzie przynależności narodowej.

Na tym terenie był też tartak. Z myślą o budowie naszej ziemianki poszliśmy do tartaku i poprosiliśmy o deski. Kiedy obiecaliśmy, że tych desek nie wyniesiemy poza teren obozu lecz chcemy zbudować sobie ziemiankę - otrzymaliśmy je. I zaczęliśmy budowę tak, że nasze pomieszczenie miało opierać się o ścianę baraku. Wprawdzie i tam później pokazały się pluskwy, ale nie w takiej ilości jak w baraku. Tu muszę stwierdzić rzecz wprost nie do uwierzenia: tam widziałem pluskwy na drzewie. Ale nas, zamieszkałych w ziemiance tak mocno nie atakowały.

Nasz pobyt w tym obozie zaczął się od badań lekarskich. W naszej grupie było około 750 osób. Połowa z nas od razu poszła do szpitala. Druga połowa to dystroficy. W tej właśnie grupie

znalazłem się ja. Później utworzono jeszcze trzecią grupę. Byli to ci, którym przyznano trzecią kategorię zdrowia. Tworzyli ją tak zwani funkcyjni to znaczy ci, którzy pracowali w obozach jako funkcyjni.

Tu do pracy nikt nie musiał iść, nikogo nie zmuszano. Jeśli ktoś chciał pójść do pracy dobrowolnie - nie stawiano mu żadnych przeszkód. A pogoda przez cały czas była piękna, nie padało.

Na terenie obozu był staw, w którym pływały zielone żabki. Te właśnie żabki łapali Japończycy i chyba je jedli. Zależało im na nich do tego stopnia, że za pięć żabek dawali pajkę chleba. Niektórzy kombinowali narzędzia do łapania: patyczek i drucik i za pomocą tego starali się je łowić. Był też obozowy natrysk: w dużym zbiorniku była woda, która nagrzewała się od słońca. Do tego zbiornika były zamontowane natryski i można było się wykąpać. Każdy po wykąpaniu się miał obowiązek uzupełnić wodę w zbiorniku. W ten sposób woda w zbiorniku była stale, stale ciepła. Opadów tam było bardzo mało. Byliśmy w tym obozie od maja do połowy października. W tym czasie deszcz padał może trzy - może cztery razy. Przez cały czas była piękna pogoda.

Morszańsk i przyległe tereny wobec okolic Ostaszkowa były zamożne. Ziemia tam była urodzajna, ludzie mieszkali w domkach i nieźle sobie radzili.

W obozie mieliśmy prawdziwą ucztę duchową, ponieważ Japończycy mieli swój teatr i wystawiali sztuki. W obozie była w tym celu muszla koncertowa. Ponadto oni mieli ze sobą kimona. Zresztą Japończycy to byli wszyscy oficerami. Zresztą obóz składał się z oficerów. Oprócz tego byli ordynansi i nasza grupa

Inną grupą o zacięciu artystycznym byli Węgrzy, którzy zorganizowali swój zespół smyczkowy. Organizowali występy artystyczne. Jak oni pięknie wykonywali czardasze.

Następnie byli Austriacy, którzy mieli pianino. Nie wiem, w jaki sposób ono się tam znalazło: czy im je dostarczono czy jakoś inaczej. I dawali koncerty. Przyjemnie było przyjść wieczorem na występy. Muszę powiedzieć, że gdyby nałożono jeść do syta i żeby były lepsze warunki bytowe, to ten obóz byłby sanatorium.

W obozie - jak mówiłem - nie było obowiązku pracy. Gdy ktoś zgłaszał się dobrowolnie do pracy - nie stwarzano mu przeszkód. I jeden z nas - taki Wacek - podjął pracę w piekarni. Zaś komendantem piekarni był Niemiec, który nazywał się Hans. On miał przy piekarni swój pokój, a nawet swojego ordynansa. Ordynansem tego Niemca - piekarza był facet z Białegostoku. Nazwiska nie podaję. Był on jednak człowiekiem jeszcze porządnym na tle innych.

Kiedyś Wacek zachorował, a bardzo nie chciał stracić tej posady. Zawsze, kiedy wracał do obozu po pracy, to przynosił bańkę kwasu, czego mu nie zabraniano, pracował - przypominam - w piekarni. Ale przy tym stosował taki wybieg: na dno bańki kładł chleb, który tylko z wierzchu zalewał kwasem. Tak dostarczany chleb był dzielony między nas czterech, mieszkających w ziemiance. Kiedy więc on zachorował i obawiał się, że ktoś może zająć jego miejsce - poprosił mnie, abym go zastąpił na czas choroby. A praca w tamtejszej piekarni nie była łatwa. Wszystko trzeba było robić ręcznie, nawet miesić chleb. Żadnych urządzeń mechanicznych tam nie było.

Właśnie tam, w piekarni obozowej - byłem świadkiem niezapom-

nianej sceny. Kiedyś wyszedłem na wewnętrzny korytarzyk, obok którego były "chleborezka" czyli krajalnia chleba. I oto widzę, lejtnant sowiecki ubrany w mundur mówi do niemieckiego jeńca proszącym głosem: gospodin Hans, dołóżytie mnie bochenek chleba. Oficer radziecki prosi niemieckiego jeńca o chleb. I oto widzę, jak Hans idzie pierwszy /był komendantem piekarni/ a za nim pokornie drepce za nim lejtnant. Hans otworzył chleborezkę i nie sam dał mu chleb lecz zwrócił się do któregoś ze swoich pomocników: dołóży jamu bochenek chleba. I podano mu ten chleb.

Wówczas lejtnant schował bochenek chleba pod swoją mundurką bluzę i pokornie dziękował: spasibo tiebie, spasibo. I odeszli: Hans szedł pierwszy, a on za nim.

Głęboko się nad tym zastanowiłem: Boże kochany, co to się dzieje? Kto tę wojnę naprawdę wygrał? Kto tu naprawdę jest zwycięzcą? Jakież to było potworne poniżenie oficera zwycięskiej armii. Może w to i trudno uwierzyć. Ale to jest fakt, który widziałem na własne oczy.

Widziałem też jeszcze raz coś podobnego. Ponieważ nie mogłem usiedzieć w obozie, a bardzo chciałem poznać okolice, a zwłaszcza miasto, zapisałem się do brągady, która akurat miała założyć drut i zbudować ogrodzenie. To żadna robota, lekka. Przy tej pracy pilnował nas lotczyk, były lotnik. Była jesień, czas kopania kartofli. A obok terenu naszej pracy rozciągały się pola jakiegoś dużego sowchozu, na których właśnie rosły kartofle. Byłem przy tej pracy chyba dwa lub trzy razy. Kiedy tam pracowaliśmy, jeden z nas pracujących poprosił naszego nadzorcę, aby pozwolił się oddalić i ukraść trochę kartofli. Mieliśmy ze sobą wiaderko do gotowania. Dwóch poszło kraść, ale z nimi poszedł strażnik. Ale szedł nie po to, aby pilnować na-

szych kolegów lecz pilnować tego, który pilnuje sowchozowego pola. Jednym słowem nasz strażnik osłaniał kradzież.

Kiedyś zacząłem rozmowę z tym naszym nadzorcą. Zapytałem go wprost: przecież jesteś młodym człowiekiem, dlaczego ty tu jesteś? Wówczas dowiedziałem się od niego, że on był lotnikiem w stopniu młodszego lejtnanta. Miał nawet tytuł "gieroj Sowieckowo Sajuza". Leciał kiedyś w locie bojowym i został zestrzelony nad terenem zajęty przez Niemców. Jednak w ostatniej chwili udało mu się wyskoczyć ze spadochronem. Szczęśliwie wylądował i odszedł w inne miejsce, aby nie zostać ujęty przez Niemców. Tułając się przypadkiem trafił na polskich partyzantów, którzy się nim zaopiekowali i przyjęli do siebie. Od tego czasu on z nimi bez przerwy chodził.

Kiedy na te tereny weszli Sowieci on powiedział, że chce wrócić do swojej armii. Partyzanci oczywiście nie stawiali mu żadnych przeszkód: przecież ma do tego prawo. Kiedy dotarł do swoich - przez cały rok go męczyli. Nie mogli mu wybaczyć, że żyje: przecież on musiał zginąć. Miano mu za złe, że przeżył i że chce dalej walczyć.

Opowiadał mi o tym z wyraźnym żalem. To, co potem przeszedł było straszną makabrą. Otrzymał wyrok dwóch czy nawet trzech lat więzienia, które odsiedział. Następnie - po odbyciu kary więzienia - skierowano na rok do służby konwojenckiej, między innymi do pilnowania obozów. I zwierzył mi się: słuchaj, jak ja mogę żyć w takim świecie? Było mi go naprawdę bardzo żal także i dlatego, że był jeszcze młodym człowiekiem, przed którym jest jeszcze życie.

Wracając zaś do kradzieży ziemniaków - gdy ci ukradli i przynosili - to pierwsze wiaderko otrzymywał nasz konwojent,

a w następnej kolejności - my.

W tej pracy byłem tylko kilka razy. Ogródenie wykonano szybko i praca się skończyła.

Jak już z tego widać - w Morszańsku było już coś innego. Warunki bez porównania lepsze niż w Ostaszkowie.

Po jakimś czasie zaczęto znowu mówić o wyjeździe. Kiedy mówiono, że szykuje się transport - każdy myślał - że to on tym transportem wyjedzie.

Pierwsi wyjechali Japończycy. Zanim to jednak nastąpiło, zaprzyjaźniłem się z majorem Matsuoka. Okazało się, że jego ojciec był ministrem spraw zagranicznych Japonii. Znał doskonale języki angielski i rosyjski. Tu muszą dodać, że jeśli chodzi o Japończyków - to chyba oni wszyscy bez wyjątku znali język angielski, przynajmniej w odniesieniu do przebywających z nami oficerów. Ale też wielu z nich znało język rosyjski. Japończycy byli wprowadzeni z nami w jednym obozie, ale w oddzielnej zone. Tam mieli swojego lekarza, urządzali dla siebie przyjęcia. Mieli też tam swoją przychodnię.

U Japończyków jest tak przyjęte, że gdy on wchodzi do domu, to zdejmuje buty i stawia je przed drzwiami. I oni zawsze to praktykowali. I kiedy przyjechali do naszego obozu Rumuni i zobaczyli przed drzwiami szereg butów - zgarnęli je wszystkie. Od tego czasu Japończycy wchodząc do gabinetu lekarskiego, jak dawniej zdejmowali swoje buty przed drzwiami i w ręku wnosili je do środka i stawiali je koło drzwi na podłodze, ale już wewnątrz gabinetu.

Kiedyś byłem świadkiem takiego wydarzenia. Brałem prysznic. W pobliżu Japończycy założyli sobie ogródek. Tam sadzili sobie pietruszkę, marchewkę i cebulę. Na żerdzi ogrodzenia siedział

Japończyk i pilnował ogródka. W pewnej chwili na to ogrodzone poletko wszedł Rumun - i że marchew już była dojrzała - wyciągnął jedną. A ja stojąc pod natryskiem obserwowałem to. A Japończyk powiedział do niego :tomadaczi/kolego/,nie chaliasio Rumun widząc, że Japończyk mówi do niego tak spokojnie i że nadal tkwi na żerdzi, nachylił się nad zagonkiem i wyrwał następną marchew. Japończyk ponownie powiedział:tomadaczi,niechaliasio.

Kiedy Rumun schylił się po trzecią marchew, Japończyk spokojnie zeszedł z żerdzi, podszedł do Rumuna i tak go trzasnął, że ten padł w jednej chwili jakby z nóg ścięty. Po jakimś czasie pozbierał się i nie oglądając się nawet na Japończyka - wyszedł z ogródka. Na uwagę zasługuje zachowanie się Japończyka: on to robił nadzwyczaj spokojnie. Na jego twarzy nie zaszły żadne zmiany. Po tym zajściu spokojnie wrócił na swoje miejsce na żerdzi i dalej spokojnie siedział.

Japończycy ^{impo}zadawali wieloma sprawami. Najwyraźniejsza była ich wyjątkowa dbałość o czystość. Zresztą to byli tylko oficerowie. Dziewięćdziesiąt procent stanowili oficerowie z marynarki. Byli też oficerowie lotnictwa. Zawsze byli elegancko ubrani: w białych spodniach. W obozie mieszkało ich cztery tysiące. Codziennie rano na ogromnym boisku przeprowadzali zbiorową gimnastykę. Ten, który prowadził gimnastykę, podawał komendy po angielsku. Na to zdobywali się tylko Japończycy. Pozostałe nacje nie. Oni nawet gdy chodzili, to nie tak jak my: idąc też uprawiali gimnastykę.

Ich wyposażenie było wręcz fantastyczne. Koce mieli z czystej wełny w kolorze zielonym. Te koce sprzedawali Rumunom. Ci zaś te koce pruli i robili z nich swetry. Ja chodziłem do Mat-

suoki. Kiedyś on mi powiedział, że ma taki koc. Zaproponował mi, żebym ten koc dał komuś do sprzedania. Takie koce sprzedawano po dziewięćdziesiąt - sto rubli. Natomiast na rękach w okolicy taki koc kosztował dwieście rubli. Pamiętam, że kilka takich transakcji przeprowadziłem.

Kiedy Japończycy mieli już wyjeżdżać, zaczęli wszystko oddawać. A oni mieli masę nadwyżek. Mieli dużo butów i bielizny. Ich bielizna była najwyższej klasy. Pamiętam, że mieli jedwabne koszulki, które były tak delikatne i z tak cienkiego materiału, że taka koszulka mieściła się w dłoni. Mieli też wełniane kalesony, wełniane bluzy. Jednym słowem wyposażenie fantastyczne. I oni mieli tego zapas. Bo ich brano do niewoli albo z okrętów lub w takich warunkach, że oni mogli to zabrać ze sobą. I właśnie im to kazali zwracać. Niektórzy Japończycy odnosili posiadane rzeczy na miejsce wskazane przez władze obozowe. Wyliczenie władz sowieckich było takie, że opuszczający obóz Japończyk mógł zabrać ze sobą tylko te rzeczy, które miał na sobie. Sam Matsuoka mi zaproponował przejęcie od niego nadwyżek. Otrzymałem od niego japońskie buty, długie i żółte, spodnie bryczesy - wełniane japońskie, bluzę i koszulę. W jednej chwili swoje dotychczas noszone rzeczy wyrzuciłem i ubrałem się jak Japończyk. Miałem na sobie umundurowanie zielone ale japońskie.

Najpierw wyjechali oni - Japończycy, a po nich - Węgrzy. Dopiero na trzecim miejscu przyszła kolej na nas. Też musieliśmy wszystko zdawać przed wyjazdem. Z Rosji wyjechałem w umundurowaniu japońskim. Ponieważ to był listopad - było już zimno - miałem na sobie kufajkę.

Wreszcie nadszedł dzień naszego wyjazdu. Radość były niesam-

mowita tym bardziej, że wyjeżdżaliśmy prawie wszyscy. Zostawał tylko major Koprowski oraz trzech czy też czterech innych. Cały nasz skład wyjechał.

Tym razem nie wątpiliśmy, że naprawdę jedziemy do Polski. Inna była atmosfera niż poprzednio. Poza tym utwierdzały nas w tym wyjazdy Japończyków i Węgrów. Na drogę otrzymaliśmy nowe łachy, najczęściej kufajki. Ponieważ - jak mówiłem - wiele rzeczy otrzymałem od Japończyka - obecnie otrzymałem tylko kufajkę.

Kiedy już jako tako nas poprzebierano, wyprowadzono nas do stacji kolejowej. Wsiadliśmy do wagonów i ruszyliśmy. Wagony były takie, w jakich jechaliśmy do Murszańska. Wewnątrz wagonu były prycze, słoma i siano. Miejsca było dużo tak, że można było spokojnie położyć się. Tym razem już mieliśmy pewność, że naprawdę jedziemy do Polski.

Kiedy dojechaliśmy do Tuły - nasz transport nieoczekiwanie zatrzymał się. Ponieważ pociąg zatrzymał się na dłużej - zaczęliśmy się niepokoić: co się stało? I w tym właśnie czasie doszła do nas wiadomość, że z Polski uciekł Stanisław Mikołajczyk. Ta wiadomość spotęgowała naszą niepewność. Niektórzy zaczęli sugerować, że z tego powodu zawrócą nas z powrotem. Nasze oczekiwanie stało się jeszcze bardziej nerwowe. Staliśmy w Tu-
le chyba jeszcze z pół dnia.

Nagle pociąg ruszył. Ponieważ nadal jechał na zachód - o-
detchnęliśmy: nie zawracają nas lecz wiozą do kraju. Rosła na-
sza nadzieja.

Wreszcie dojechaliśmy do Brześcia. Tu nam kazano wysiadać. Wyszliśmy z wagonów. Sformowano nas w kolumnę marszową i za-
prowadzono nas do ... obozu. Był to jednak obóz przechodni.

W tym obozie spotkałem wielu, wielu znajomych z Białegostoku. Tu właśnie spotkałem kapitana Zadorę, z którym przywitaliśmy się bardzo serdecznie, bo to był bardzo "fajny facet". Ponadto było tu kilku moich kolegów z naszego - białostockiego okręgu. Wśród jeńców tego obozu był też z nami gen "Wilk". Okazało się, że przywieziono go z Wilna. Wcześniej był w obozie, z którego uciekł, ale go ujęto i z Wilna przywieziono go właśnie tu.

W tym obozie byliśmy chyba ponad tydzień. Tu spotkałem tego, który został aresztowany w domu Rosy - "Mariana". Moje z nim spotkanie było trochę nietypowe. Szliśmy podczas spaceru dróżką. W pewnym momencie zauważyłem, że przedemną idzie jakiś mężczyzna i uśmiecha się do mnie. Wreszcie doszliśmy do siebie i zaczęliśmy rozmowę:

- Cześć,

- Cześć,

- Słuchaj, a skąd my się znamy?

- Chyba z Warszawy.

- Możliwe, bo ja pracowałem w Warszawie. Ale chyba nie.

- To może z Wilna?

- Chyba tak, chociaż też chyba nie.

Taka rozmowa trwała jeszcze jakiś czas aż wreszcie wpadliśmy obaj na to, że on również został aresztowany w Białymstoku w domu Rosy. To właśnie dla niego niosłem dokumenty i zostałem aresztowany.

Obaj nie wiedzieliśmy, co się stało z Rosą. On - to jest mój rozmówca też siedział przy ulicy Ogrodowej, a następnie był przewieziony do więzienia. Wcześniej jednak - podczas badań przy ulicy Ogrodowej - podczas badań rozbito mu nos. On

ten fakt wykorzystywał podczas śledztwa w ten sposób, że krwią ciekącą z rozbitego nosa mazał swoją twarz, a następnie ściany pokoju badań. Przesłuchujący go NKWD-yści rzucali się do niego - czto ty dziełajesz? A on to robił specjalnie. Po badaniach wywieziono go do Rosji. Siedział w Riazaniu. Z zażenowaniem muszę się przyznać, że do dziś nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska.

Z obozu w Brześciu wyprowadzano nas aż trzy razy. Za każdym razem czegoś nie było: a to transportu nie podstawiono, a to za drugim razem brakowało znowu czegoś innego. Dopiero za trzecim razem uformowano nas w kolumnę. Razem z nami w kolumnie był generał "Wilk" - Krzyżanowski. W związku z obecnością generała zapamiętałem takie zdarzenie: w pewnej chwili podszedł do niego jeden z sowieckich oficerów. W tym samym momencie podjechał samochód "Ził". Ten oficer zapraszał generała do środka: gaspadin gienierał, sadieties, pażałsta. Ale generał odpowiedział jednoznacznie: niet. Ja pójdę ze swoimi żołnierzami. I rzeczywiście: stanął z nami w kolumnie i razem z nami przyszedł do wagonu.

Wyjechaliśmy z Brześcia. Nasza podróż zakończyła się Białej Podlaskiej. Tu wyładowaliśmy się. Tu nam zapowiedziano, że otrzymamy dokumenty i każdy będzie mógł wracać do swojego domu. Ja, razem ze swoim kolegą - Tadeuszem Nowakowskim w Łomży - pożegnaliśmy się. Podczas pożegnania obiecaliśmy sobie, że będziemy się odwiedzać. Jeśli chodzi o Fulmyka i Choromańskiego to obiecałem im - że ich odwiedzę napewno.

Następnie z Tadeuszem /Nowakowskim/ wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy do Warszawy. W Warszawie rozstaliśmy się. Tadeusz wsiadł do pociągu, który idzie na Łomżę, a ja do pociągu

zdążającego do Białegostoku. Kiedy wsiadłem, w wagonie siedziało chyba z siedem osób. W przedziale, naprzeciw mnie siedział jakiś starszy kolejarz /ale przepraszam: to było jeszcze na trasie z Białej Podlaskiej do Warszawy/. Obok mnie siedział bowiem jeszcze Tadeusz Nowakowski.

Ciesząc się z uzyskanej wolności i będąc w Polsce zaczęliśmy wspominać - jak to było w Rosji. Wspominaliśmy bez ogródek nasze tam przejścia obozowe. W trakcie tej rozmowy nagle uświadomiłem sobie, że z przedziału wyszła najpierw jedna osoba a za chwilę druga. Wszyscy patrzyli na nas podejrzliwie. Przedział coraz bardziej się wyludniał do tego stopnia, że z nami został tylko ten kolejarz.

Siedziałem przy oknie. W pewnej chwili kolejarz zwrócił się do nas z pytaniem: panowie, a skąd wy jedziecie? Odpowiedzieliśmy - zgodnie z prawdą - że wracamy z Rosji z obozu. A na to nasz rozmówca: panowie, czy wy naprawdę chcecie jeszcze raz tam pojechać? Ale dlaczego? - zapytaliśmy zdumieni. Wówczas kolejarz powiedział: panowie, jak wy możecie tak gadać. Teraz za takie gadanie jedzie się do obozu, za to, coście tu teraz powiedzieli.

Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego ci ludzie zaczęli wychodzić z naszego przedziału. Ci ludzie po prostu bali się i został tylko ten stary, odważny kolejarz.

Kiedy dojechałem do Białegostoku - była już późna pora, było już ciemno. Z zadumą i zarazem radością usłyszałem głos konduktora: stacja Białystok - stacja końcowa - proszę wysiadać. Pociąg zatrzymał się.

Ja, będąc jeszcze w obozie w Rosji przyrzekłem sobie, że jeśli kiedyś wrócę do Białegostoku - to pierwsze kroki skieruję

do kościoła. Wyszedszy więc z pociągu poszedłem nie w stronę poczekalni dworcowej lecz na drugą stronę - do kościoła św. Rocha. Oczywiście kościół był zamknięty - było już bowiem ciemno. Pomodliłem się przez chwilę i ruszyłem do domu.

Kiedy podszedłem pod dom zauważyłem, że światła są zapalone. Okna były pozasłaniane. Usłyszałem rozmowę. Wszyscy byli zawiedzeni, że nie przyjechałem. Bo ja, jak już mówiłem, poszedłem na drugą stronę i dlatego z nikim się nie spotkałem.

Teraz stałem pod oknem swojego domu. Jeszcze z czasów okupacji miałem z mamą umówiony sposób pukania, którego nie znał nawet ojciec, bo jako kolejarz nie zawsze bywał w domu - mama zaś zawsze. I kiedy tak zastukałem - mama poderwała się z krzykiem: Józek wrócił.

Teraz nastąpiły powitania, radość i łzy. Rodzice, którzy mnie oczekiwali, przygotowali zastawiony stół. Wykąpałem się, zmieniłem bieliznę, usiadłem do stołu i poprosiłem tylko o szklanekę gorącej herbaty. Wszyscy byli zdziwieni: to co, nic nie będziesz jadł? Nie, nie mogę. Posiedziałem jakiś czas, a następnie poszedłem do swego pokoju. Oczywiście o śnie nie było mowy.

Teraz zaczęło się - też urozmaicone życie w PRL-u. W czasie mojego pobytu w obozach w Rosji ucieczki zdarzały się. Jeśli teraz sobie dobrze przypominam - takich ucieczek było chyba pięć.

Pierwsza ucieczka - której raczej nie należy traktować jako ucieczkę - to było to zajście, o którym już mówiłem. Chodzi o mieszkańca Białegostoku, który tuż po wejściu do obozu w Ostaszkowie - w biały dzień i na oczach wszystkich pobiegł na druty, a następnie został zastrzelony przez strażnika z wścieczki. Ale powtarzam - to trudno uznać za ucieczkę.

Druga ucieczką miała miejsce przed świętami Bożego Narodzenia. Uciekło wówczas chyba pięć osób. Oczywiście ich ujęto. Przyprawiono ich rano. Wśród oficerów sowieckich, pracujących na terenie obozu był wyjątkowo wredny osobnik, kanalia, który od więźniów otrzymał przydomek "cap-carap". To przydomek wzięło się stąd, że on wszystko kradł. Cokolwiek zobaczył u kogo - natychmiast zabierał. Wystarczyło coś zostawić na chwilę - jeśli "cap-carap" miał służbę - rzecz przepadała bezpowrotnie.

Inną osobowością ze straży więziennej był - nazywany przez nas - "kaczy łeb", blondyn, z którym też miałem historię. Kiedyś leżałem zbiedniały na pryczy, bo akurat zachorowałem. Byłem zabandażowany /głowa/, bo miałem jakieś kłopoty z uzębieniem i posiadałem zwolnienie lekarskie.

W pewnym momencie do baraku wszedł pewnym krokiem właśnie "kaczy łeb", ogarnął wszystkich obecnych w baraku zwycięskim okiem i zapytał:

- kto chce zagrać w szach-maty?

Obok mnie leżał kolega który wiedział, że ja gram w szachy i zaczął mnie namawiać, żebym z nim zagrał. Ja początkowo nie chciałem. Ale uległem namowom i odpowiedziałem, że ja zagram. A wyglądałem strasznie: obłachmaniony jak jeniec i w dodatku chory.

Rozstawiliśmy figury i on zaczął pierwszy. Po kilku ruchach zorientowałem się, że przeciwnik jest do ogrania. Ale jednocześnie zacząłem się reflektować: jeśli wygram, to on może być wredny i mścić się. Ale przegrać? Tu już odezwała się we mnie ambicja narodowa. W swoich wyobrażeniach traktowałem to niemalże jako mecz międzypaństwowy. Po tym wahaniu wlepiłem mu

pierwszą partię. Był wyraźnie niezadowolony. Nu, dawaj dalsze, burknął. W drugiej nie miał szans: rozwalikem go szybko. On wściekły - zabrał szach pod pachę i wyszedł. I wówczas pomyślałem sobie: cholera, będzie się mścił. Bo nie zachował się jak prawdziwy sportowiec - szachista. Gdybym to ja tak przegrał, to wręcz przeciwnie: właśnie szukałbym okazji do pogrania z takim kimś. A ta swołocz - to już taki charakter człowieka - mścił się na mnie za przegraną. Gdy tylko szukano kogoś do jakichś robót - to już ja musiałem się kryć, bo byłem wołany jako pierwszy. Ale satysfakcję miałem: mecz międzypaństwowy jednak wygrałem.

Trzecia ucieczka miała miejsce wówczas, gdy władze obozowe zaopatrzyły nas w sienniki. Właściwie to nie były sienniki lecz same worki, które dopiero należało napchać, aby stały się siennikami. Była to w zimie, a worki były białe. Dotychczas spaliśmy na gołych deskach. Kiedy nam dano te worki, to mało kto napychał je słomą czy sianem. A przyczyna była bardzo oczywista - pluskwy.

Broniliśmy się nadal przed nimi, ale już w taki sposób. Człowiek wchodził do środka worka i zawiązywał się i to była niezła obrona przed pluskwami. Tu chcę dodać, że kiedyś przysłano do nas dodatkowo jakiegoś faceta, chyba z Kalinina. Kiedy ten człowiek do nas przyjechał i pozalałtował swoje formalności - były już późna pora. Wówczas naszym komendantem był Gumowski. Nowoprzybyły zgłosił się do Gumowskiego i zameldował się. Gumowski już wcześniej wiedział, że ten przyjechał i że się wkrótce zgłosi. Odpowiedział mu: proszę pójść do baraku nr taki to a taki i tam zgłosić się do starszego baraku. Na tym rozmowa się skończyła. Przyjezdny wyszedł.

Po jakimś czasie przybiegł wyraźnie przerażony i przerywanym głosem zwrócił się do Gumowskiego: panie komendancie, ale tam nikogo nie ma.

Gumowski wyraźnie się zaniepokoił: jak to - nikogo nie ma? Ależ tak, tam nikogo nie ma. Tam leżą tylko sienniki. Wówczas Gumowski powiedział: proszę iść i potrząsnąć któryś siennik. W tych siennikach śpią ludzie.

Takich i podobnych historii, które warte są opowiedzenia - po prostu się zapomina.

Okoliczności aresztowania generała "Wilka" znam w pewnym stopniu z autopsji. Znam to z opowiadania majora Cetysa, który jeszcze żyje i mieszka przy ulicy Marszałkowskiej. W każdym razie żył jeszcze dwa lata temu. Podobnie, jeśli chodzi o majora Bordzikowskiego, który opowiadał o aresztowaniu oficerów. Chodzi o tych oficerów, którzy mieli się zgłosić w umówionym miejscu koło Wilna. Mówiono im, że będą zaproszeni do Wilna na jakieś przyjęcie. I właśnie Bordzikowski opowiadał, jak to się odbyło. Sowieci przyjechali, otoczyli wszystkich. Broń wycelowali w nich. Nasi oficerowie sądzili, że skoro wkrótce ma przyjechać sam sowiecki generał - to to, co ich spotyka są nadzwyczajne środki ostrożności. Tu trzeba dodać, że nie wszyscy oficerowie polscy się zgłosili. Część wyczuła - co to może być, a część nie została zawiadomiona na czas. Ale teraz widząc broń skierowaną na nich zaczęli się zastanawiać: skoro to mają być środki ostrożności, to dlaczego karabiny skierowane są na nich a nie na zewnątrz?

Po jakimś czasie rzeczywiście przyjechał generał, ale generał NKWD i kazał oddać broń. Nasi strasznie to przeżyli. Następnie ich aresztowano i wywieziono do więzienia.

Natomiast o aresztowaniu generała "Wilka"-Krzyżanowskiego opowiadał mi major Cetys. Otóż "Wilk" z towarzyszącymi mu oficerami zgłosił się w umówionym miejscu i czasie. Według ustaleń wcześniejszych miała powstać polska jednostka z zachowaniem odrębności organizacyjnej. Ale nadrzędnym celem była współpraca i wspólna walka z Niemcami. Tą sprawą zajmował się właśnie major Cetys, który był szefem sztabu i uczestniczył w pamiętnym spotkaniu.

Z Krzyżanowskim stawili się tak, jak było ustalone. Podwieziono ich grzecznie samochodem. Weszli do pokoju, w którym za biurkiem siedział generał sowiecki Czerniachowski. Przed biurkiem stały dwa krzesła, na których oni usiedli. Cetys sięgnął po tęczkę, w której były dokumenty i opracowania sztabowe na ustalone wcześniej tematy.

Zaczęła się rozmowa. W pewnym momencie generał Czerniachowski wstał i oświadczył, że żadnej rozmowy nie będzie. I zaraz dodał: Oddajcie broń.

Cetys, który był cich^o i ciemny błyskawicznie sięgnął po broń, ale nie zdążył, gdyż w jednej chwili obskoczono ich ze wszystkich stron. Rosjanie wcześniej przygotowali ~~w~~ pułapkę. Natychmiast zabrano im broń i dokumenty a ich samych aresztowano i wywieziono. "Wilk" po tym był w obozie w Riazaniu. Właśnie stamtąd generał "wilk" próbował szczęścia w ucieczce. Natomiast jego sztab był przetrzymywany w Ostaszkowie.

Czwarta ucieczka była wyjątkowa pod tym względem - że była to jedyna ucieczka udana. Uciekł facet - którego nazwiska sobie nie przypominam. Jako współnika dobrał sobie drugiego obozowicza, który pracował w obozowej kuchni. Tu muszę podzielić się następującą refleksją: łatwiej uciec z Ameryki aniżeli z

Rosji. Stamtąd ucieczka jest straszna. Jeśli już ktoś decydował się na ucieczkę, to musiał mieć taką porcję żywności, żeby nigdzie nie zachodzić. Porcja żywności musiała wystarczyć aż do przejścia granicy. Tam jest tak, że jeśli ktoś obcy zaszedł gdziekolwiek - natychmiast powiadamiano milicję. Było to efektem sowieckiej propagandy, według której uciekinierzy to są Niemcy, których koniecznie trzeba chwycić. Za wydanie takiego zbiega nagradzano kilogramem cukru i jeszcze czymś. W tej sytuacji trudno się nawet dziwić miejscowym ludziom, którzy byli święcie przekonani, że łapią naprawdę jakiegoś wroga, faszystę. I właśnie dlatego zachodzenie gdziekolwiek było równoznaczne ze schwytaniem. I dlatego tak istotne znaczenie miała odpowiednia ilość żywności. Żywności musiało starczyć do granicy.

I ten, który organizował czwartą ucieczkę, doskonale zdawał sobie sprawę z tego. Dlatego nawiązał kontakt z osobą pracującą w kuchni. Ten zaś przez jakiś czas odkładał tak zwany "suchy pajok". Cierpliwie suszył chleb, kombinował cukier i tak zbierał żywność, bo też miał doskonałe możliwości. Nazbierali tyle, że według ich obliczeń na ich dwóch miało wystarczyć. W tym celu pozyskali też plecak.

Samo przejście pod drutami obozowymi nie było trudne! Nasz obóz stał na terenie podmokłym. Dookoła obozu był wykopany rów odwadniający. Przeszli pod drutami ogrodzenia. A ten, który pracował w kuchni - utykał na nogę. I on zdawał sobie sprawę z tego, że czeka go niełatwe zadanie. Kiedy więc odeszli od drutów jakieś sto metrów - a było to w terenie zalesionym - wówczas ten zdrowy rzekł: zaczekaj tutaj, ja się rozejrzę po terenie. I założył na siebie ten plecak, że to niby temu utykającemu

trudno będzie nieść. Zabrał więc plecak i poszedł się "rozejrzeć". Rano patrol sowiecki znalazł go na tym samym miejscu, bo on nawet się nie ruszył sam. Tamten zrozumiał, że nie zdoła z nim uciec. Podjął więc ucieczkę samotnie i jemu samemu się udało. Sam doszedł do celu i w jakiś sposób przesłał wiadomość, że jest we Wrocławiu. Nie jestem pewien, ale jego nazwisko było Dmoch. Zresztą do nazwisk należy odnosić się z rezerwą, bo niekiedy posługiwano się nazwiskami fałszywymi albo celowo podawano inne nawet w rozmowach pomiędzy kolegami. Nazwiska w tych warunkach nie były nigdy pewne.

Wielokrotnie omawialiśmy sprawę tej ucieczki. Jedni ostro go krytykowali: jak on mógł zostawić kolegę, a sam uciec. Ale też były i zdania bardziej wyważone. Wedle tego stanowiska uciekinier doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że z nim nie dojdzie. Że ten utykający będzie mu ciężarem i że właśnie z nim nie ma żadnych szans. On zaś sam, mając wikt w dostatecznej ilości czuł się pewnie. Wiedział, że nigdzie nie musi zachodzić, a to zwiększało jego szanse. Ponadto był wcześniej w partyzantce i wysportowany. Liczył na to, że jemu się uda. I udało się.

Nasi rodzice czy w ogóle rodziny najczęściej nie wiedziały o nas nic. Na przykład moi rodzice dowiedzieli się dopiero w 1946-tym roku - gdy do Białegostoku wrócił pierwszy transport dopiero wówczas otrzymali wiadomość, że jestem w obozie. Bo do tego czasu nie wiedzieli o mnie nic. Stasio Tyszek wrócił z Riazania i przywiózł rodzinie wiadomość, gdzie jestem. A moja mama przez pół roku nosiła do więzienia jedzenie o straży więzienna przyjmowała to wszystko bez mrugnięcia okiem podtrzymując nadzieję, że ja nadal przebywam w więzieniu w Białymstoku.

Mówiliśmy sobie - tam w obozie - że dzięki niemu świat się dowiedzie prawdy o nas, gdzie są naprawdę Polacy. Ja stałem na stanowisku, że nie można go potępiać tym bardziej, że ten pozostawiony posiedział za próbę ucieczki chyba tydzień. Wrócił do Polski razem z nami czyli po roku od swojej ucieczki. Tak zakończyła się czwarta ucieczka.

Piąta ucieczka była zorganizowana pierwszorzędnie. W niej udział wzięli:

- pułkownik Szydłowski
- major Cetys
- kapitan Fortuna, adiutant Szydłowskiego
- ktoś czwarty, ale nazwiska nie pamiętam.

O ich ucieczce, to już my z Fulmykiem wiedzieliśmy wcześniej, bo powiedział nam o tym sam Szydłowski. A powiedział dlatego, że oni kombinowali chleb i suszyli u Fulmyka. Jak już mówiłem - Fulmyk był obozowym stomatologiem i mieszkał w oddzielnym pomieszczeniu. I właśnie u niego suszono chleb oraz przechowywane wszystkie produkty.

W obozie miałem długi kolejowy płaszcz, który wymieniłem na fińską kurtkę. Ta kurtka była na jedną stronę biała a na drugą zielona. I taką właśnie kurtkę otrzymałem w drodze wymiany za swój płaszcz kolejarski. I kiedyś przyszedł do mnie Szydłowski i powiedział: wymień mi tę kurtkę. A on miał zwykłe palto na watolinie, sięgające do kolan. A moja kurtka miała przecież kolor maskujący /kolory biały i zielony/. Zgodziłem się na to i do takiej transakcji doszło. I stąd my z Fulmykiem wiedzieliśmy o ich ucieczce.

Któregoś dnia - pamiętam, że wieczór był dżdżysty - oni przeszli ogrodzenie tuż przy samej sowieckiej komandanturze.

Gdy inni wybierali miejsce najodleglejsze - oni wybrali to. Przeszli i poszli dalej.

Mieli przy tym sporo szczęścia. Władze obozowe udkryły ich nieobecność dopiero następnego dnia i to aż w czasie obiadu. I wówczas w obozie wybuchła straszna awantura. Ze wszystkich budek wartowniczych, zwanych "wyżkami" odezwały się salwy karabinów maszynowych. Chodziło tu o element gry psychologicznej: przerazić więźniów. Był to pomysł całkowicie chybiony. Oni najwyraźniej zapomnieli, kto w tym obozie siedzi, na nas takie strachy nie działały.

A myśmy zaczęli liczyć dni. Następnie tygodnie. Minął pierwszy tydzień - nic. Przeszedł drugi - nadal nic. Przeszedł już trzeci tydzień - nadal nic. Kiedy zaczął się czwarty tydzień zaczęliśmy się zastanawiać: dokąd oni mogli już dojść? Co teraz robią?

Po miesiącu dotarła do nas wiadomość, że ich ujęto. Wpadli na skutek fatalnego zbiegu okoliczności. Okazało się, że byli już na Wileńszczyźnie, na swoim terenie, który doskonale znali. A tam - w pobliżu Wilna - Sowieci mieli obóz niemieckich jeńców. I właśnie w tym czasie - co za pech - z tego obozu uciekło kilku czy kilkunastu jeńców. Władze sowieckie z tego powodu zorganizowały bardzo szeroką obławę. A nasi koledzy akurat znaleźli się na tym terenie.

Zostali ujęci i przewiezieni do obozu. Chyba przez miesiąc siedzieli w obozowym karcerze. Następnie razem z nami przejechali do Morszańska.

Po powrocie podjąłem starania o pracę. Pracę o charakterze fizycznym - mogłem znaleźć. Ale innej - było trudno. Trzeba było mieć specjalną przepustkę w postaci legitymacji partyjnej

Dość długo starałem się i cały czas bezskutecznie. Już nosiłem się z zamiarem wyjazdu na zachód /chodzi o zachodnie tereny Polski - zwane wówczas ziemiami odzyskanymi/. Kiedyś zostałem zaproszony na wesele. Ale myśl o wyjeździe na zachód torpedowało to, że tu miałem rodzinę i tym samym jakieś oparcie, bo przecież nie miałem nic. Tu był ojciec, który pracował. A tam byłoby tragicznie. Była też i sprawa zdrowotna: musiałem jakoś poprawić swój organizm, na którym przeżycia obozowe pozostawiły swój ślad.

Był to już rok 1948-ny. Mój kolega z Jerzewa - Zygmunt Łupiński - był ze mną. W jego domu kwaterował sztab z tamtego terenu. W obozie przebywał razem ze swoim ojcem. I ten Zygmunt Łupiński zaprosił mnie na wesele. W tym czasie ja już szykowałem się do wyjazdu do Białogardu, gdzie przebywał jeden z moich kolegów i sam mi zaproponował przyjazd. Obiecywał pracę w miejscowej elektrowni.

Kiedy byłem na weselu, spotkałem innego swojego kolegę, który usłyszał, że ja wybieram się wyjechać w poszukiwaniu pracy. Zapytał mnie czy to prawda. Powiedziałem, że tak, że nie mam szans na uzyskanie pracy. A ten mój kolega pracował wówczas w Okręgowej Spółdzielni Mleczarsko - Jajczarskiej w Białymstoku. W tej spółdzielni pracował między innymi pan Górny. Nazwiska dyrektora już nie pamiętam. Mój kolega "zakręcił" się koło tej sprawy i wkrótce zaproponował mi pracę w tej spółdzielni. Powiedział mi, że będę pracował jako główny księgowy w Łomży. Byłem tym zaskoczony. W szkole na temat księgowości było bardzo mało. Kiedy podzieliłem się z kolegą swoimi obawami, odparł niefrasobliwie: co ty, dasz sobie radę.

Ponieważ nie było innego wyjścia - pojechałem do Łomży. Za-

wieziono mnie tam samochodem "warszawą" i podjąłem pracę. Był to punkt zbiorczy, przeto zacząłem przyjmować dostarczane towary: wszystko co dostarczano. I ktoś musiał zawiadomić dyrektora, że jakiś facet pracuje w Łomży. Zadzwoił do mnie ktoś z pytaniem - kim jestem i co robię. Odpowiedziałem, że przyjmuję dostarczane towary. Wówczas ten pan powiedział: proszę wracać do Białegostoku i jutro zgłosić się do siedziby przedsiębiorstwa. Wyjechałem z Łomży jeszcze tego samego dnia, aby stawić się w oznaczonym czasie.

Nazajutrz zgłosiłem się do dyrektora. Ten zapytał mnie, skąd przyjechałem. Wówczas powiedziałem szczerze: panie dyrektorze, przyjechałem z Rosji, bo tam byłem wywieziony i przebywałem w obozie. Teraz chciałbym pracować. Wówczas dyrektor zapytał mnie proszę pana, a kto będzie panu płacić? Przecież wcześniej trzeba napisać podanie, życiorys i wówczas możemy pana przyjąć, będzie mógł pan pracować.

Odpowiedziałem: panie dyrektorze, ja o tym nie wiedziałem. Dyrektor powiedział: dobrze, niech pan to wszystko napisze a my pana przyjmujemy, ale - tu pan będzie pracował, bo mnie potrzebny jest księgowy.

Szybko napisałem potrzebne papiery i zostałem przyjęty. Ale o księgowości nadal nie miałem większego pojęcia. A w tej firmie osiemdziesiąt procent załogi stanowili byli akowcy i to chyba z dyrektorem włącznie. Tak więc jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie - to było bardzo dobrze. I zarabiano się też nieźle.

Ale po jakimś czasie przyszła taka moda, że każdy musi pracować zgodnie ze swoim wykształceniem. A u nas powstał Zarząd Oddziału NOT. Wówczas mi powiedziano, że w obecnym nastawieniu

nie mam większych szans i zapewne na dotychczasowym stanowisku nie utrzymam się. Poradzono mi, abym się zgłosił do NOT-u. Tak też zrobiłem. Tam mi powiedziano, że muszę zmienić pracę. Jeśli tego sam nie zrobię - to zostanę usunięty z tego stanowiska. Pomyślałem sobie, że może lepiej samemu zrezygnować, bo w przeciwnym razie licho wie, jaką pracę mogą mi przydzielić. Postanowiłem tak zrobić. Wcześniej uprzedziłem swojego dyrektora, że od pierwszego będę musiał odejść. Jeśli tego nie zrobię - i tak będę musiał odejść. Odchodząc sam mam czas rozjeżdżać się. Może uda mi się coś znaleźć w Białymstoku. Później może być gorzej.

Dyrektor powiedział: proszę pana - trudno. Ale musi pan znaleźć kogoś na swoje miejsce. Zacząłem rozglądać się za kimś takim, za kogo nie musiałbym się wstydzić.

I w tym czasie w Białymstoku przy ulicy Świętojańskiej powstało Biuro Projektów. Dyrekcja tego biura znajdowała się w Warszawie, a myśmy tu mieli oddział. Dyrektorem tego biura był inżynier Gładysz. Samo biuro mieściło się w niewielkim domku, w którym zajmowaliśmy wszystkiego trzy pokoje. I nikt nie było. Tu pracowali tylko technicy, którzy pracowali na stałe i wykonywali prace zlecane. Tam pracował między innymi inżynier Bukowski. A na stałe było tylko nas dwóch! Studniarczyk i ja.

Po pierwszym zgłosiliśmy się razem ze Studniarczykiem. Studniarczyk pokazał swoje dokumenty i wszystko miał w porządku. Powiedziano mu, że jutro może przyjść do pracy. Wówczas ja podałem swoje dokumenty, w których napisałem zgodnie z prawdą, że byłem wywieziony do Rosji. Dyrektor Gładysz przejrzał moje dokumenty i powiedział: proszę pana, ja do pana nic nie mam, ale

zgodnie z zaleceniem ja pana nie mogę przyjąć. Chodziło o to, że w tym biurze robiono różne dokumentacje, także i o charakterze tajnym.

Zrobiłem minę poszkodowanego człowieka, a dyrektor wówczas powiedział: proszę pana, a cóż mnie obchodzi, co pan rzeczywiście robił przez te trzy lata?

Ja "aluzju poniał". Natychmiaż zabrałem od niego mój życiorys, wyrzuciłem z niego prawdę o tych trzech latach i ponownie poszedłem do niego. On przeczytał mój drugi życiorys i stwierdził: nie mam zastrzeżeń. Zostałem przyjęty i tam rozpocząłem pracę.

Wó¹⁵czas praca w biurze projektów wyglądała inaczej niż to dzisiaj wygląda. Myśmy tylko we dwóch pracowali na całych etatach. Dziś kto inny robi odbitki, kto inny kreśli. A myśmy robili wszystko: i projekt i w ołówku i w tuszu, sami też robiliśmy odbitki. Jednym słowem sami robiliśmy wszystko od początku do końca.

Z czasem biuro zaczęło się powiększać, przychodzili nowi ludzie. W tym biurze przepracowałem prawie dziesięć lat. W tym czasie uzyskałem na Politechnice Warszawskiej dyplom inżyniera sanitarnego. Obsada biura nadal się rozrastała. Powstawały nowe biura projektowe. Po jakimś czasie odszedł dyrektor Gładysz, a zastąpił go dyrektor Tymiński. Nie miał wyższego wykształcenia.

Początkowo atmosfera w pracy była bardzo dobra. Nie było żadnych zebrań czy innych niepotrzebnych zasiadówek. Można było pełnym głosem wyrażać swoje myśli. W naszym biurze nawet personalny / kadrowy / był bezpartyjny. Tymiński był wprowadzicie partyjny, ale człowiekiem porządnym. Nie wtrącał się do spraw

niepotrzebnie. Na sprawach fachowych nie bardzo się znał. Ale z nim można było dogadać się. Był uczciwy i nigdy nikomu nie zrobił krzywdy.

Kiedyś powstała w naszym biurze taka sprawa. Chodziło o to że chcieliśmy mieć dłuższą przerwę w czasie świąt Bożego Narodzenia. I w tym nam przeszkadzał jeden dzień. Myśmy między sobą wcześniej się umówiliśmy i uzgodniliśmy i poszliśmy do niego z propozycją: panie dyrektorze, my ten dzień, który nam "zawadza" - odpracujemy w niedzielę. Ależy nam bowiem na tym żeby mieć dłuższą przerwę w czasie świąt.

Dyrektor wysłuchał i stwierdził, że to się da zrobić i że on nie widzi w tym żadnego problemu. I tak się stało: odpracowaliśmy ten dzień w niedzielę i w czasie świąt mieliśmy dłuższą przerwę. A w tym czasie atmosfera w naszym biurze zmieniła się znacznie. Już kilka osób było partyjnych i był partyjny sekretarz. I ktoś musiał donieść. I za to, tylko za to "ymieńskiego wyrzucono z pracy. I ten człowiek musiał odejść. Na jego miejsce przyszedł inny - Kamprowski.

W międzyczasie, gdy tam pracowałem - weryfikatorem instalacji sanitarnych i wodociągów - był inżynier Antoniuk. Był on wice dyrektorem biura projektów - Sergiusz Antoniuk. Natomiast weryfikatorem instalacji centralnego ogrzewania był inżynier Musatow. Był to byrdzo uczciwy, dobry człowiek i bardzo dobry projektant. Kiedy ja przerzuciłem się na projektowanie instalacji centralnego ogrzewania - on właśnie weryfikował moje projekty.

Kiedy w naszym biurze stosunki zaczęły się psuć, przyszedł kiedyś do mnie Antoniuk. On również ukończył naszą szkołę wileńską, a następnie studiował na Politechnice Warszawskiej.

W owym czasie ja bardzo dużo pracowałem: po dwanaście, a nawet czternaście godzin na dobę, a często też i w niedzielę. Chodziło o dotrzymanie terminów. Inna sprawa, że tam nie najgorzej się zarabiało. Atmosfera początkowo była naprawdę wspaniała. Nie chodziliśmy na żadne zebrania, nie chodziliśmy na majowe pochody. Tylko pracowaliśmy. I tak było do czasu, zanim nam nie dano tych partyjnych.

Wówczas zaczęły się kłopoty. Na pierwszego maja należało podpisać listę z rana przed pochodem. Po zakończeniu manifestacji trzeba było wrócić i ponownie listę podpisać. Zaczynały się czasy nieciekawe.

I wówczas nadeszła od Antoniuka propozycja, abym zmienił pracę. Zdecydowałem się, ale Kamprowski nie zgodził się na przeniesienie służbowe. A na tym mi ze zrozumiałych względów zależało. Mam do dziś zachowane to moje podanie, na którym on napisał, że "Lenczewskiego również obowiązuje wypowiedzenie". I nie mogłem ruszyć z miejsca sprawy. A odejść w inny sposób to równało się utracie ciągłości pracy, od której wiele zależy. To byłaby zbyt duża strata.

Kiedy to powiedziałem Antoniukowi - on mi odpowiedział: proszę się nie martwić - ja to załatwię. I jakoś to załatwił. Podobno chodził w tej sprawie nawet do Komitetu partii, chociaż sam był bezpartyjny. I postawił na swoim.

W rezultacie jego starań przeniosłem się do pracy w wodociągach. Objąłem tam stanowisko starszego inspektora nadzoru robót instalacyjnych. W tym czasie trwały tam prace projektowe oraz wykonywstwo. Przystępowano właśnie do rozbudowy nowego ujęcia wody w Wasilkowie. Tam trzeba było zaprojektować nową kotłownię wolnostojącą, nową sieć centralnego ogrzewania

Wprawdzie projekty na te obiekty były już opracowane, ale chodziło o to, żeby ktoś miał nad tym nadzór. Ponieważ Antoniuk wiedział, że ja znam się na sprawach ogrzewnictwa - starał się o mnie i ja poszedłem do tej pracy.

Zacząłem już pracę w nowym miejscu, ale jeszcze dokumentów z biura - w którym wcześniej pracowałem - nie zabierałem. W biurze pracowało się jak koń przez cały czas. A tu inny był charakter pracy. Wystarczyło pojechać samochodem czy też motocyklem - obejrzyć te na przykład trzy nadzorowane roboty, wpisać do dziennika jakieś zastrzeżenia i - nie ma co robić. A ja bez pracy nie mogłem usiedzieć.

Kiedyś przyszedłem do Antoniuka - było to chyba po dwóch tygodniach - i powiedziałem: panie dyrektorze, ja rezygnuję z tej pracy. Gdy on mnie zapytał dlaczego - odpowiedziałem, że ja tu nie mam co robić. On wówczas zaczął mnie zapewniać, że roboty będzie aż za dużo, tylko trzeba poczekać i doradził mi zabranie dokumentów.

I rzeczywiście. Zabrałem dokumenty i stało się tak, jak mi mówił Antoniuk. Stosunki w wodociągach były bardzo dobre. Dyrektorem tej instytucji był Kiziewicz. Na pracy prawie wcale się nie znał, ponieważ z zawodu był nauczycielem. Był członkiem partii jeszcze przed wojną ale był bardzo dobrym człowiekiem. Antoniuk był bezpartyjny, ale z nim też można było dogadać się na rozsądnych zasadach.

Pracując tam przez wiele lat nigdy nie usłyszałem pod adresem mojej pracy najmniejszej uwagi. Wielokrotnie byłem nagradzany za pracę. Otrzymałem między innymi Krzyż Kawalerski, Zasłużony Białostoczczyźnie i jeszcze inne.

Z Urzędem Bezpieczeństwa miałem doczynienia wówczas, gdy

Studniarczuk uciekł za granicę. Jak już wcześniej wspomniałem, pracowałem z nim w biurze projektów. Jednocześnie w tym czasie byłem w zarządzie NOT-u. Wówczas zorganizowano wycieczkę do Szwecji. Nasze stosunki w biurze pomiędzy mną a Studniarczkiem nieco się oziębily - bo ja, a nie on zostałem kierownikiem zespołu projektowego. No, ale przecież nie ja o tym decydowałem. Wówczas on zaczął opuszczać się w pracy. Zmuszony byłem zwrócić mu uwagę: słuchaj, przecież zawałasz sprawy, terminy. Trudno, żeby za ciebie pracowali koledzy. Tak było kilka razy i to mąciło nasze stosunki.

Wycieczka, o której wspomniałem, była naszą pierwszą wycieczką zagraniczną. Było to już w latach sześćdziesiątych. Początkowo na tę wycieczkę zgłosił się były dyrektor wodociągów - inżynier Zygmunt Skrobecki. On później pracował w województwie. Był to wysoki, starszy pan. Jego syn zginął w powstaniu warszawskim. On sam był zapamiętałym kolekcjonerem znaczków pocztowych /filatelistyka/. Pan Skrobecki zapisał się na tę wycieczkę, a następnie zrezygnował. I wówczas na wycieczkę zapisał się Studniarczuk. Ale - jak teraz myślę - on zapisał się na tę wycieczkę już z tą myślą, żeby uciec. On zapisał się na miejsce Skrobeckiego. I on wyjechał na tę wycieczkę i już nie wrócił. Został w Szwecji, a następnie dostał się do Australii. I tam pozostał.

I wówczas zaczęły się moje kłopoty. Urząd Bezpieczeństwa uważał, że on ma ze mną jakieś kontakty. Nie wiem, jak on zachowywał się za granicą. Ale w sprawę wdał się podobno nawet wywiad. Ileż mnie z tego powodu ciągnano. W tej sprawie przyjeżdżał nawet ktoś z Warszawy z naszego jakiegoś tam wydziału. Wielokrotnie kazało mi się zgłaszać do komisariatu na Białymstocz-

ku. Tam przyjeżdżał jakiś facet, siedł na górę i tam z nim gadałem całymi godzinami. Spotykaliśmy się nie tylko w tym komi-sariacie, ale w kilkunastu innych miejscach.

Już znacznie później - powiedział mi dyrektor - i do niego też przychodzili w tej sprawie.

Studniarczuk, zanim wyjechał, nie żył ze swoją żoną i z nią się rozwiódł. Właściwie to było tak: on z nią nie żył, ale formalnie nie miał rozwodu. I będąc za granicą wniósł sprawę o rozwód. I trzeba trafu, że właśnie mnie podał za świadka. Kiedy ja powróciłem z Rosji, on już z nią nie żył i ja naprawdę nic nowego w tej sprawie powiedzieć nie mogłem. On wprawdzie napisał do mnie wcześniej, żebym był jego świadkiem w tej sprawie, ale ja odmówiłem. Mimo tego on jednak mnie podał jako świadka.

Na rozprawę się stawiłem, ale od razu powiedziałem, że nic w tej sprawie nie wiem zwłaszcza na temat ich pożycia małżeńskiego. Przecież kiedy ja wróciłem do kraju - oni już żyli w separacji. I na tym mój udział w tej sprawie się zakończył. Jego adwokat najwyraźniej musiał go o tym pisemnie poinformować.

Jestem pewien, że moja korespondencja ze Studniarczukiem była otwierana. Kiedy ja mu napisałem, że nie zamierzam być świadkiem w tej sprawie, wówczas on napisał do mnie list - paszkwil: ty komunisto, twoje dzieci chodzą do komunistycznej szkoły i dalej w tym tonie. I ten list oni najprawdopodobniej też przeczytali.

Jest to tym bardziej prawdopodobne, że wkrótce po tym liście ten "ubowiec", który ze mną spotykał się w tej sprawie /bardzo kulturalny pan/ - powiedział mi: proszę pana, chyba już

w tej sprawie nie będziemy już pana fatygować. Tym bardziej, że pan teraz wyjeżdża. Zdziwiłem się: to pan i o tym wie? Tak, wiem. Jedź pan do Rajgrodu. To może pan wie z kim? Tak, wiem i tu wymieniał osoby, z którymi miałem właśnie jechać do Rajgrodu. Ale opuścił tylko jedną osobę. Był to mój szwagier. Tu już nie miałem wątpliwości, że każdy niemal mój krok ~~nie~~ był przez nich śledzony. Widocznie mieli swoje źródło informacji w biurze.

I na tym skończyło się moje "ciągnięcie" z UB-e. Tu przepracowałem do emerytury. W drodze życiowej zaliczyłem dwie prace: w biurze projektów oraz w wodociągach.

Oprócz formalnego miejsca pracy byłem też i rzeczoznawcą, robiłem różne ekspertyzy. W sprawach instalacyjnych byłem też biegłym sądowym.

Gdyby to podsumować - w związku z pobytem w Rosji miałem tylko kłopoty w czasie starań o pracę.

Notował: S. Sianko.